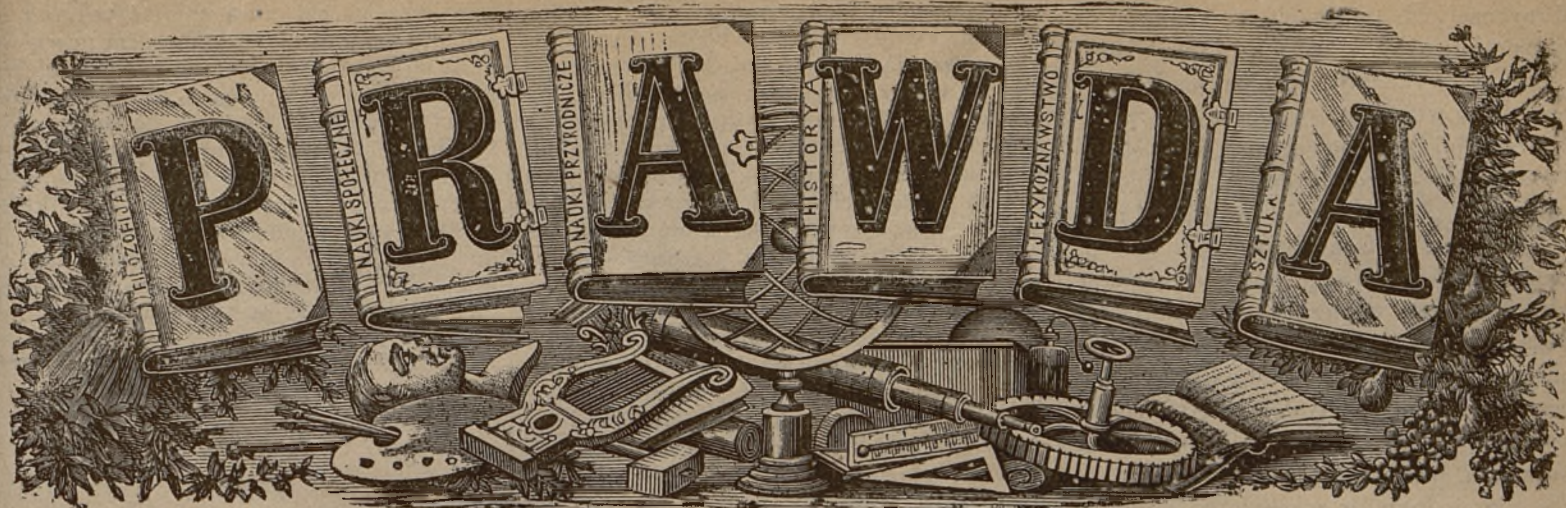
№ 41. Warszawa, dnia 13 (1) Października 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

DOBÓR NATURALNY.

I Francya? — zawołali ze zdziwieniem teoretycy polityczni szkoły liberalnej, przeczytawszy rozporządzenie prezydenta, utrudniające pobyt cudzoziemcom. Tak, i Francya uległa temu prądowi, który powiał na Europę z przed dwudziestu kilku stuleci, kiedy to między „obywatelem" a „cudzoziemcem," między krajowcem a „barbarzyńcą" rozwierała się głęboka i szeroka przepaść, zapełniana potem długą pracą cywilizacyi, zdobyczami jej krwawych walk i ofiarami bohaterów. Powróciły czasy świata starożytnego a wraz z nim — ludzie pełnej, pół i ćwierć krwi obywatelskiej. Objaw ten leży najzupełniej w logice doboru naturalnego, który zarówno rządzi w polityce, jak w biologii. Biały zając, który podczas zimy, upodobniony barwą do jej śniegów, uważa się bezpiecznym, latem tarza się w piasku, ażeby zszarzeć odpowiednio do otoczenia. Wolnomyślne dzienniki paryskie a za nimi obce skarciły rząd francuski za to wytarcie się w piasku, za upodobnienie się do niemców, za dekret przeciwko cudzoziemcom. Niewątpliwie, ustawa ta jest wyrazem słabości i nietolerancyi, z zasadami Rzeczypospolitej zestroić się nie da, ale... biały zając nie chce odbijać od szarego tła. Wolelibyśmy go widzieć bohaterem, ale nie możemy mu brać za złe, że jest zającem.

Cóż tedy postanowiła? Każdy cudzoziemiec, chcący przemieszkiwać u niej, winien złożyć w ciągu dwu tygodni od przyjazdu w merostwie właściwej gminy deklaracyę, w której wyszczególni: narodowość, datę i miejsce urodzenia oraz ostatniego pobytu, zawód, środki utrzymania, narodowość żony i dzieci, jeśli mu towarzyszą; szczegóły te muszą być poparte odpowiednimi dowodami. Przy zmianie miejsca pobytu trzeba składać nową deklaracyę. Cudzoziemcom, już przebywającym we Francyi, pozostawiono miesiąc czasu na zebranie dowodów. Przepisy te zaostrzone zostały karami i groźbą wygnania.

Wszystkim ludziom rzetelnym i posiadającym zdrowe zmysły zdawało się, że jest to bardzo skromne i odległe naśladownictwo edyktów pruskich. Boć przecie olbrzymia zachodzi różnica między obowiązkiem złożenia deklaracyi i dowodów osobistych a wymaganiem paszportów poświadczonych przez ambasadę niemiecką w Paryżu lub wygnaniem 30,000 niewinnych ludzi i zamknięciem państwa dla obcych poddanych pewnej narodowości, jak to uczyniły Prusy. Kto tak sądził, zapomniał o tem, że bezczelność jest odwagą najśmielszą. Właśnie prasa niemiecka i właśnie te jej organy, które z tryumfem otrębywały u siebie klątwę na cudzoziemców jako hymn cywilizacyi, rzuciły się z wściekłością na Francyę. *Nordd. Allg. Ztng*, najzażartsza katownica, pragnąca ogniem i mieczem wytępić obce żywioły, oskarżyła dekret Rzeczypospolitej przed trybunałem historyi i nie czekając na jej wyrok, wypaliła na czole sąsiadki piętno „barbarzyństwa." Trudno orzec, co w czeredzie tych oszczerców jest wstrętniejszem — ich czyny, czy słowa. Znowu patrzymy na jedną z tysiącznych odmian teutońskiego zuchwalstwa: kiedy Niemcy powiększają swoją armię, to według nich znaczy pokój; kiedy inne państwo tylko utworzy nowy pułk, to oznacza wojnę i natychmiast najmici dziennikarscy w Berlinie ostrzegają Europę przed niebezpieczeństwem. Kiedy Rosya zgromadziła nieco więcej wojska w Królestwie Polskiem, cała Germania brzmiała hasłem: „Krieg im Sicht;" ale kiedy ks. Bismark przybrał sobie 300,000 żołnierzy nowych, to nie miało żadnego znaczenia. Zaprowadzenie na granicy francuskiej paszportów, wizowanych przez ambasadę w Paryżu, wygnanie ze wschodnich dzielnic niemieckich dziesiątek tysięcy ludzi spokojnych, odjęcie ich rodakom prawa pobytu w tych ziemiach — to jest w etyce niemieckiej koniecznością „etyki chrześciańskiej;" ale zażądanie tylko dowodów legitymacyjnych od cudzoziemców we Francyi — to objaw „barbarzyńskiego zdziczenia." Zaiste, gdyby nam tę bezczelność przekazały czasy dawniejsze, nie wierzyli-

byśmy żadnym świadectwom. Teraz wierzymy prawdzie, bo na nią patrzymy.

Przyznać jednak trzeba, że znalazły się w prasie niemieckiej pisma, które uznały tę obłudę, wykazały różnicę na korzyść Francyi i w własnym swoim rządzie wskazały wzór jej postępowania. „Tego chciałeś Dandinie“ — wołają one do gadzinowego gniazda. „Kto mieczem wojuje od miecza zginie,“ a mistrze edyktów przeciw cudzoziemcom, wywijając mieczem, żądają, ażeby ich ciosy odpierano słomkami i nie znoszą nawet trzcinek. Twórcy klamer i obręczy, jakiemi się okuwa Europa, złorzeczą własnym pomysłom. Nie zmylą wszakże opinii publicznej, która wie, komu zawdzięcza prawa wyjątkowe. Prawa te stały się jednym z warunków istnienia społeczeństw a Francya tylko weszła w kolej doboru naturalnego, wytkniętego przez Niemcy.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ks. Bismark jest już za mocno usadowiony na swem stanowisku, za nadto oswoił opinię publiczną z bezwzględnością swego postępowania, ażeby miał się krępować wobec jakiegoś tam Geffkena. Tajny radca, były profesor uniwersytetu i przyjaciel zmarłego cesarza siedzi pod kluczem jak rzezimieszek, a sąd (kanclerz) odmówił nawet wypuszczenia go na swobodę za kaucyą, z czego nieraz korzystają złodzieje i fałszerze weksłów. Nie dość tego. Podjęto próbę uznania winowajcy niepoczytalnym, rozstrojonym umysłowo, przeciw czemu on energicznie protestuje. Niedługo zapewne najwyższy trybunał państwa wyda wyrok na tego strasznego złoczyńcę, tego wyrodnego syna Germanii, tego okropnego „zbrodniarza stanu,“ który... śmiał wydrukować notatki zmarłego monarchy niepochlebne dla kanclerza! Przypuszczamy, że ziemia niemiecka drży z odrazy, słysząc imię Geffkena i drżeć będzie dopóty, póki go kapłani Temidy nie poświęcą na ołtarzu ofiarnym dla przebłagania gniewu Jowisza.

Cesarz niemiecki ukończył swoje odwiedziny w Wiedniu i wyjechał do Rzymu. Obcowanie monarchów było bardzo serdecznem, toasty wznoszone na cześć armii znaczące, ale, przynajmniej dotąd, żaden donioślejszy skutek tego spotkania na jaw nie wyszedł. Wyglądało ono zewnętrznie na potwierdzenie ślubu politycznego, na uroczyste ogłoszenie związku poprzednio zawartego. Wilhelm II niejako poślubiał w cesarzu austryackim wdowca po dwu swoich przodkach, obaj zaprzysięgli sobie miłość, wiarę, uczciwość, a do tych przyrzeczeń Austrya dodała jeszcze — posłuszeństwo małżeńskie. *N. Y. Herald* rzucił w świat nowinę, że pomimo pozorów przeciwnych trójcesarskie przymierze znowu istnieje. Ponieważ wieść ta zniknął potwierdzenia nie otrzymała, musimy ją pozostawić na boku znakiem zapytania i zapisać tylko fakt mocnego zaciśnięcia węzłów przyjaźni austro-niemieckiej. Wobec tego faktu wątpliwą wydaje się nadzieja *Norda*, że sojusznicy pracowali nad uporządkowaniem sprawy bułgarskiej. Jeżeli nawet cesarz Wilhelm poruszył ją, to zapewne w duchu owego ślubu i godowych toastów.

Gody te zamąciło doniesienie ze wschodnich brzegów Afryki o buncie plemion murzyńskich przeciwko „kulturträgerom,“ których ci niewdzięczni barbarzyńcy pragną wymieść a zabierają się do tej roboty bardzo niegrzecznie. Gdyby to tak belgowie, holendrzy lub francuzi! Ale z gromadami dzikusów, którzy nabroiwszy, uciekają w głąb Afryki — co począć! Wyjadą lub wyjechały do Zanzibaru okręty niemieckie, upolują garstkę czarnych, ale to sprawy nie rozstrzygnie. Tu wszystkie wysiłki przebiegłej dyplomacyi nie poradzą. Trzeba będzie naprzód zażądać od sejmu nowych zasiłków, a potem — przyznać się do porażki.

Boulanger, naintrygowawszy swych ziomków tajemniczą nieobecnością, powrócił do Paryża, schwytany zaraz na dworcu przez reporterów, którzy ogłosili tę ważną wiadomość od brzega do brzega Francyi. Niedługo więc rozpocznie się gorsząca i bezmyślna farsa polityczna. Prawdopodobnie gabinet Floqueta, który stoi na kretowiskach radykałów, monarchistów, oportunistów itd., podkopany ostatecznie przy rozprawach nad rewizyą konstytucyi, upadnie, a biedny Carnot, jeśli nie zdoła wprowadzić Clemenceau lub Ferrego, wyznaczy konkurs na ministeryum, posiadające odwagę rządzenia Francyą, to jest kierowania wozem, ciągnionym przez dziesięć koni w rozmaite strony.

Politycznego znaczenia nabrała szczególna sprawa w Anglii. Jakiś tajemniczy morderca zaczął nocą zabijać w Londynie kobiety publiczne i wycinać im pewne organa ze zręcznością i umiejętnością chirurga. Prawdopodobnie jest to albo maniak, albo „zbieracz.“ Pomimo że zarżnął już siedem ofiar, policya nie złapała go, czem zbudziła wielkie oburzenie śród ludności, potępiającej jej naczelników. Za odkrycie sprawcy naznaczono nagrody, sięgające już do 2,000 f. szt., ale i ten środek nie pomógł. A tak niedawno jeszcze policya angielska uchodziła za wszechwiedzącą.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

(*Teatr polski w Łodzi*).

Dnia 6 października odbyła się uroczystość otwarcia stałej sceny polskiej w Łodzi. Kierunek nad nowym wesołych muz przybytkiem objął p. Lucyan Kościelecki, znany dziennikarz i artysta dramatyczny, któremu też należy się zaszczyt inicyatorstwa i szczęśliwego wypielęgnowania sprawy. Dokoła wodza skupia się liczna drużyna, mniej lub więcej utalentowanych uprawiaczów komedyi, farsy i operetki (Winkler, Kopczewski, Chmieliński, Feldman, Wyrwiczówna, Majdrowiczówna, Grabińska, Kirszensteinówna i inni). Publiczność polska i *Dziennik łódzki* sympatycznymi przybyszów witają oklaskami, a zasoby ludnego grodu trwały dotychczasowym tułaczom obiecują przytułek.

Otwarcie teatru w takiem, jak Łódź mieście, jest niezawodnie pierwszorzędnem zjawiskiem na tle obecnej doby życia społecznego. Gromadka jednostek, które pod hasłem artyzmu wędrując z miasta do miasta, często o sztuce zapominały, porzuca namiot koczownika i w stałych progach domu osiada. Ma ona teraz możność rozwijania swych uzdolnień, ku własnemu i społeczeństwa całego pożytkowi. Uboższe ustronia prowincyonalne, podejmujące zwykle swym kosztem wędrownych aktorów, pozbywają się w części obciążającego ich barki brzemienia; Łódź zyskuje stałą rozrywkę, a ogół polski pragnąłby ujrzeć w świeżo uorganizowanem towarzystwie spółkę sumiennych pracowników i szanujących swą godność na obranym posterunku, dzielnych obywateli kraju.

2)

SEN FILOZOFA.

Zaledwie przeniósł się do krainy marzeń, wyobraźnia przypięła mu skrzydła, na których wzbił się w powietrze.

Już opuścił nędzne utyskiwania napełniające małe domki, wzniósł się po nad harde przechwałki pałaców, po nad służebne głosy dzwonów na wieżach — leciał coraz wyżej.

Przeszybował sploty chmur, wyrwał się nad ocean atmosfery, przemknął mimo kuli księżycowej, aż zbłądziwszy w kręgach planetarnych dróg, dostał się na nieznany świat.

Cała przestrzeń zdawała się ogrodem. Wśród drzew i kwiatów małe schludne domki, skromnie uśmiechające się wabiły na odpoczynek, lecz syn ziemi, gnany badawczą myślą, leciał wciąż dalej. Przed jego wzrokiem, jak w panoramie, dziwne przesuwały się obrazy.

Widział władcę zstępującego z tronu, by podać ramię schorzałemu starcowi. Widział rycerza osłaniającego sieroty przed burzą. Widział kapłana uczącego się moralności u maluczkich. Widział sędziego zatopionego w roztrząsaniu własnego sumienia. Widział tłumy wojsk, spieszące z pomocą sąsiadowi, który nie zdążył zebrać plonu swego pola.

Dziwni — pomyślał — spełniają dzieła wręcz przeciwne ich zadaniom.

I leciał wciąż dalej, aż ujrzał obszerną krainę, która nawet na tej dziwnej planecie zdawała się wyłącznie ubłogosławioną.

Spokój i zadowolenie ozdabiały lica wszystkich jej synów; ani przekleństw, ani jęku, ani pogróżek. Róże były bez cierni, sępy bez szponów, żmije bez żądeł.

Coraz bardziej zdziwiony szukał niespokojnym wzrokiem zdeptanych, lub odtrącanych od wysokich progów — i nie znalazł.

Oczekiwał, rychło-li usłyszy szczęk oręża, wybuchy prochu — i nie mógł doczekać.

Wyglądał Judasza całującego mistrza, Batubana pijącego krew, Torkwemadę, podpalającego stosy — i żadnego z nich nie dojrzał.

Co chwila zdawało się mu, że słyszy hymny miłości i braterstwa.

— Kto rządzi tym dziwnym narodem?

— Chyba nie wiedzą co znaczy złoto, nie pojmują sławy zwycięzców?

— Gdzie są nędzni, złamani, biczowani; gdzie włóczęgi bez przytułku i rodzin?

Tak myślał i mknął wciąż dalej.

Naraz ukazało się duże miasto; jakże było dziwnem! Ani mieszkań w podziemnych norach, ani błotnistej warstwy pod nogami, ani turkotu wspaniałych powozów.

Tylko gałęzie drzew poruszane wiatrem szumią tajemniczą pieśń przyrody, tylko ptaki, gnieżdżące się na drzewach, świergocą hymny naturze.

Domki nie strzelają w górę niebotycznemi wieżami, ale skromnie otulają się gałęziami drzew.

Lecz oto w środku miasta zoczył obszerny plac, na którym wodotryski, posągi i krzewy dziwne tworzyły sploty.

Cała ta czarodziejska płaszczyzna była okolona domami wynioślejszymi nad inne.

— Zapewne tutaj mieszka władca tego kraju.

— Pomyślał. Spuścił się do ogrodu i wszedł do najwspanialszego gmachu.

Zadziwił się, gdyż zamiast licznego dworu, ujrzał wielką liczbę żaków.

— Co to jest?.. — zapytał.

— Jest to szkoła—odpowiedział mu mąż, który był nauczycielem i zstępując z katedry dodał:

(Szpitale dla obłąkanych i przytułki dla podrzutków).

O ile zdrowie i szczęście ludzkie, jako światełka znikające, są czemś dla nas niewyraźnem i nie zasługują na to, by je przeceniano, o tyle nędza i choroba, odwieczne, wierne towarzyszki człowieka, tak wymowną prozą rzucają się w oczy, tak jasno, a bez tłomacza rozwijają przed nami swe okropne tajemnice, że albo odpychają, albo gwałtem ciągną do swego rydwanu. Najjaskrawszą, a dla dwunożnego prostactwa najzabawniejszą odmianą nieszczęścia na tym świecie podsłonecznym jest obłąkanie. Raz, jadąc przez wieś, ujrzałem biegnącą szybko po drodze, młodą kobietę w łachmanach, która piszcząc przeraźliwie, do piersi owinięty w szmatę, wielki kamień przyciskała — za nią pędził tłum wyrostków z psami. Biedaczka ta, jak mi później powiedziano, utraciła niedawno dziecię. I cóż się z nią stało? Przywieziono ją podobno do Warszawy i było brak miejsca w szpitalu. Gdzieindziej znowu mieszczanin, pod wpływem obłędu, spowodowanego już to klęskami, już to życiem nieumiarkowanem, zamarzył o wystawieniu pałacu kryształowego i począł burzyć dom własny, a tych, co mu przeszkadzali, bił i łżył bez pamięci. Długo on całe swe otoczenie o rozpacz przyprawiał — miejsca bowiem u Jana Bożego nie było... Ileż to takich tu i owdzie zdarzyć się mogło wypadków. Nim szpital na Tworkach zostanie zbudowany, wieść o znacznem pomnożeniu łóżek w lecznicy bonifraterskiej jest prawdziwą dla nieszczęśliwych pociechą. Oby się tylko jaknajprędzej projekt w czyn zamienił.

Drugą, dotyczącą tej samej kategoryi nieszczęść społecznych sprawą, ważniejszą może jeszcze od poprzedniej, jest notowana przez niektóre z pism naszych, konieczna potrzeba zakładania po ogniskach gubernialnych, na podobieństwo warszawskiego, przytułków dla sierot. Otwiera się tu pole do pięknego popisu dla naszej arystokracyi—pieniężnej i rodowej. Powinna bo ona przecież czemś zasłużyć się społeczeństwu. A czyż może być właściwsze dla niej zajęcie nad niesienie ulgi sierotom, które swój byt opłakany w przeważnej ilości pieszczochom losu zawdzięczają? Czy wreszcie już nie czas zagładzić nietylko złotem, ale i gorętszym czynem ową hańbę policzka, zadanego niegdyś księdzu Baudouinowi?.. Kwestya zresztą nie jest bynajmniej zawikłana; rozwiązanie jej nie wymaga szczególnego bohaterstwa. Potrzeba tylko, by powstała komisya, złożona z ludzi dobrej woli, którzyby wyjednali odpowiednią u władz rządowych sankcyę, a następnie zajęli się zbieraniem składek. Nie wątpimy, że pod hasłem tak dobrej sprawy z grosza wdowiego w krótkim czasie poważny urośnie kapitał.

Sławój.

LISTY PETERSBURSKIE.

1 października.

Nadchodzące wybory nowych syndyków w parafii św. Katarzyny przybierają nową postać. Korzystając z należnego mu (?) prawa ojciec przeor jakoby naznacza kandydatami pp. R. i Aug. To znaczy, wszystkie złudzenia pierzchły. Obierzemy tego, kogo nam każą. Nie wątpimy, że i wspomnieni panowie uczynią zadość zadaniu, lecz to inna kwestya...

Możnaby pozostać przy dawnych syndykach, lecz p. Łuk. niewiadomo z jakiej przyczyny, niewielu ma zwolenników, a p. Zab. zrzekł się syndykowstwa, albowiem tego wymaga i okoliczność i dobro parafii...

Dziwne rzeczy dzieją się na świecie!..

Czy niema dobro parafii łączności z ową gadką, co przeszło od roku, tj. od czasu zatwierdzenia przeora, przebiega z ust do ust, a brzmi ona tak:

„Kto ma uszy ku słuchaniu, niech słucha. W on czas zgromadzili się lewici i rzekli: wybierzmy mistrza, ktoryby się troszczył o nas.

I wybrali sługę bożego, co był cichego a pokornego serca — na imię zaś mu było K...

I zapisali owi lewici imię mistrza na zwoju pergaminu i posłali ów zwitek do arcykapłana.

Było też owego czasu niejakie książę tego świata P., które zebrało swe służebniki i rzekło:

Zaprawdę powiadam wam, rozmyślałem od zorzy wieczornej do zarania, ażali godzi się, by sługa boży, któremu na imię K., był mistrzem! I odrzekli owi służebnicy: Twa mądrość jako pochodnia śród mroku wskazuje nam drogę, rzeknij a usłuchamy.

I rzekło książę: Pracujmy bracia duchowi, by zaniechany mistrz S. wywyższył się.

Natenczas niektórzy jęli szemrać, zapytując: ażali mistrz K. jest gorszym od mistrza S. — książę rzekło:

Jesteśmy jako świeczniki na ołtarzu, bądźmy też jako krety w norach. Niecąc światło, nie przestajmy badać i podziemia, albowiem tam są podwaliny gmachów. Zaprawdę powiadam wam: człek ma dwie ręce, ażeby jedna drugą myła i dwie nogi, ażeby jedna drugą wspierała — umyty i wsparty mistrz S. wesprze nasze panowanie.

Powstał natenczas niejaki celnik D. i rzekł: Panie, otom sługa twój, niech się stanie podług słowa twego. Książę P. zawołało: Baczcie bracia! jest to jeden z owych, którego umiłowało moje serce — a zwracając się do celnika, orzekło: odejdź sługo w pokoju.

I opasał natenczas ou celnik swe biodra przepaską, utwierdził rzemyki obuwia, ujął kostur i wyruszył.

A miał w swej sakwie zwój pergaminu, na którym hebrajskimi wyrazy nakreślone były cnoty mistrza S. Pod owym hymnem, każdy, co uwierzył, kładł swój podpis.

I stało się natenczas słowo ciałem i ruszyło się między nami, każąc wielkim głosem chwalę mistrza S.

Niestrudzone, przebiegło całą Palestynę i Syryą, zwiedzało ziemie Chananejskie, docierało Babilonu i Nilu.

I świeciła czas długi światłość w ciemnościach, a ciemności jej nie ogarnęły, ponieważ była to światłość prawdziwa, która oświeca maluczkich.

Tak uczynił ów celnik, któremu na imię było D., niosąc świadectwo o światłości. Nie był on światłością, lecz światłość głosił.

Przyszedł do swoich, przyjęli go. Przyszedł do obcych, został wysłuchany.

A którykolwiek nie przyjął go, wyszedłszy od nich, otrząsał proch z obuwia i na znak żalu rozdzierał szaty.

Gdy zaś powrócił z wędrówki, udał się z książęciem P. do arcykapłana i rzekł:

Pragniemy wywyższenia mistrza S. Oto są podpisy naszych zwolenników. Rzeknij słowo, a będziemy zbawieni.

I wyrzekł natenczas arcykapłan: jesteście łagodni jako gołębice, a mądrzy jako węże; niech się zadość stanie waszej chęci.

Kto ma uszy ku słuchaniu, niech słucha, albowiem maluczko — a utworzy się siła, która bramy piekieł przełamie."

N. B.

— W ciągu tak czcigodnego wieku, zapewne nie jedną prawdę zbadałeś, czy nie zechcesz nas czegoś nauczyć?

— Nie skorzystacie z moich prawd, bo są odmiennej natury — rzekł zmieszany i wyszedł.

Znowu szukał okazalszego od innych gmachu, lecz znowu trafił do przytułku starców.

Nareszcie zapytał o drogę przechodnia.

— Oto jest królewskie mieszkanie—rzekł, wskazując ręką wzgórze, na którem otoczony drzewami stał cichy domek.

Wszedł niepostrzeżony, bo drzwi były otwarte i warty nie wzbroniły wejścia.

Władca zatopiony w zadumie siedział nad księgą, kreśląc coś na jej kartach.

Ujrzawszy przychodnia, powstał i rzekł:

— Starcze, twe czoło uwieńczone myślą, zapewne chcesz dać mi jakąś dobrą radę; usiądź słucham cię.

— Jestem mieszkańcem innej planety, więc nie rozumiem waszych potrzeb: zresztą nie przywykłem do udzielania rad.

— Czy nie jesteś mędrcem?

— Starałem się zajrzeć w głąb oceanu wiedzy, czyniłem wycieczki na wyżyny ducha, lecz to nie daje mi jeszcze prawa zasiadać w radzie sterników.

— Jakto? Czyż prawdy, któremi się rządzi wasza planeta, nie są dziełem mędrców? Czy idee miłosierdzia i sprawiedliwości nie ich usta głoszą?

— Słowa naszych mędrców — rzekł syn ziemi — są głosem wołającego na puszczy, ziarnem, rzuconem między chwasty.

— Prawdziwy mędrzec — odparł monarcha — naprzód wyplenia z gruntu złe nasiona, a potem sieje nań dobre.

— Zaiste! — rzekł syn ziemi — lecz wyrywać sploty złych korzeni, znaczy dotykać najgłębszych, najdrażliwszych namiętności poziomu.

— Mędrzec w swych dążeniach powinien być lwem i nie baczyć na piski myszy; powinien być olbrzymem i nie wikłać się w pełzających roślinach.

— Lew, walczący z myszą — odrzekł filozof — stałby się dziwnym, a jednak zwłoki królewskiego zwierzęcia służą jej za pokarm; olbrzym uplątany w chwastach byłby śmiesznym, a jednak zielska wyssą nareszcie soki jego ciała.

— Twoje słowa tchną goryczą. Słuchając, gotówbym sądzić, że owa planeta stworzoną jest dla rdzy i pleśni, a wszelkie porywy do światła, kończą się wypaleniem oczu.

— Tak źle nie jest. Ziemia stanowi widownię walki ducha ciemni i światła. Dzień i noc rządzą na niej po kolei. Niekiedy dzień staje się dłuższym i człowiek zaczyna wierzyć w przewagę światła, lecz wkrótce, noc znów odbiera swój haracz.

— Gdy znikome płazy zasypiają nocą, mędrcy czuwają przy blasku promieni, które wytworzyli w chemicznych retortach.

— Marne to światło — rzekł syn ziemi— które częstokroć gaśnie od podmuchu swawolnego szubrawca, lub pijanego brutala.

— Bezcelowe swawole zdarzają się tylko w czasach pierwotnej cywilizacyi; czyż wasza planeta przechodzi taki okres?

— Nie umiem na to odpowiedzieć: żółw mniema, że jest bystronogim, sowa, siedząca w mroku, że jest mądrą.

— Postęp mierzy się czynami: czyście ubezwładnili szpony pantery, jad żmii, paszczę krokodyla?

— Zwierzęta zwalczyliśmy poniekąd — odrzekł syn ziemi.

— Czyście zbadali przyczynę zjawisk? Czy nie składacie hołdów bóstwom mroków, nie rzucacie ofiar do krateru wulkanu, nie nazywacie wichrów i gromu — zemstą bożą?

— Zjawiska te są prawie zbadane, lecz nałóg składania ofiar ciemnym i jasnym duchom pozostał.

— Rozumiem tedy — zawołał władca — gorycz twych słów, gdyż pojąłem, co znaczy siła poziomu: jest to siła gnuśnej senności.

BADANIA NAUKOWE.

ZAGADNIENIA ANTROPOLOGICZNE.

IV.

Teorya „królestw“ rasowych. — Geografia medyczna i kolonizacya naukowa. — Zachowanie się różnych typów europejskich w po za europejskich środowiskach klimatycznych. — Rasy są w harmonii ze swem otoczeniem klimatycznem i wyżyć mogą tylko w odpowiednim klimacie. — Fakty historyczne. — Proponowany sposób udostępnienia Afryki dla cywilizacyi. — Zakończenie — tegoczesna kwestya społeczna jest tylko czasowem zawikłaniem śród pewnej części rodu ludzkiego, antropologiczne — stałemi.

Agassiz w swojej rozprawie, stanowiącej wstęp do dzieła Gliddona i Notta: *Typy ludzkości*, usiluje dowieść, iż glob ziemski rozpada się na pewną ilość szczególnych terytoryów, t. z. „królestw.“ Każde takie naturalne terytoryum posiada właściwą sobie faunę i florę wraz z odpowiednią rasą ludzką. Otoczenie klimatyczne, natura człowieka wraz z jego odpornością na zarazki chorobliwe, roślinność i wreszcie świat zwierzęcy stanowią w każdem królestwie zwartą a harmonijnie do siebie przystosowaną i ułożoną całość. Zresztą hypoteza tego uczonego przedstawiała jedynie próbę uzasadnienia dla całego świata organicznego poglądów, wypowiadanych przez Mortonowską szkołę antropologiczną w zastosowaniu do człowieka jako jestestwa, które ujrzało świat w kilku niezależnych od siebie punktach ziemi. W związku z powyższą zależnością pomiędzy klimatem a człowiekiem snuto dalsze wywody. Jak rośliny podzwrotnikowe, przeniesione ze swego otoczenia na północ, obumierają z powodu nieodpowiedniości warunków klimatycznych, podobnież i odrębne rasy ludzkie mogą wyżyć i rozpładzać się jedynie w ściśle zakreślonych strefach. Nott w swojej pracy o *Aklimatyzacyi*)* stawia następujące twierdzenia: „klimaty ziemi można rozpatrywać pod względem fizycznym i medycznym: każde terytoryum klimatyczne inaczej działa na odrębną rasę ludzką“; „wśród ras ludzkich ani jednej niema kosmopolitycznej, chociaż najbardziej tym wymaganiom odpowiadają grupy, żyjące w szerokościach środkowych; tymczasem ludy z okolic równika lub podbiegunowe najmniej są zdolne do wyżycia po za granicami przyrodzonego swego otoczenia“; „twierdzenie, iż istniały niegdyś lub mogą istnieć rasy, które przystosowałyby się do wszystkich fizycznych i medycznych klimatów, należy uważać za hypotezę, nieopartą ani na jednym fakcie historycznym i stojącą w sprzeczności z dowodami nauk przyrodniczych.“

Rozwój nauk antropologicznych dowiódł mylności wielu z powyższych twierdzeń. Owe „królestwa“ Agassiza okazały się przypuszczeniem, niekoniecznie zgodnem z faktami. Jednakże zasadnicza myśl przytoczonych poglądów, mianowicie jakoby istniała zależność pomiędzy otoczeniem klimatycznem a człowiekiem, wytrzymała i odparła zwycięzko wszystkie wymierzone zarzuty, zresztą stosunkowo bardzo nieliczne i słabe. W liczbie obrońców tego założenia znaleźli się najgorliwsi monofyletyści, przyjmujący, iż nawet najodmienniejsze rasy ludzkie zdolne są do wydawania drogą krzyżowań trwałego i płodnego typu. Należy dodać, że antropologia nigdy nie posiadała na swoje rozkazy tak licznych i ustalonych faktów. Kwestya ta łączy się bezpośrednio z próbami kolonizacyjnemi ludów europejskich; co więcej, wyrokuje o ich powodzeniu lub niepowodzeniu. Obecnie czasy sporów minęły. Powstała nawet zupełnie nieznana przed laty dwudziestu nauka, posiadająca własną katedrę w paryskiej Szkole antropologicznej — geografia medyczna, rozpatrująca między innemi zależność ras ludzkich od otoczeń klimatycznych. Co więcej, stawia ona już wymagania praktyczne — naukowego przewodniczenia tegoczesnemu prądowi kolonizacyjnemu. O kosmopolityzmie rodu ludzkiego, rozpatrywanego ze stanowiska ras poszczególnych, twierdzić tylko może nieuctwo.

Przyjrzyjmy się teraz faktom, które zresztą głównie czerpać będziemy z rasy „białej.“ Okoliczność, iż zaliczane tu typy mówią językami, należącymi do tej samej rodziny lingwistycznej, sprawia, że uważa się ją za coś jednolitego. W rzeczywistości mamy do czynienia z kilku rasami, połączonemi wspólną nazwą. Różnice pomiędzy niemi występują na każdym kroku. Widzieliśmy już jedną — zachowanie się w sprawie krzyżowania z rasą „czarną“ Afryki. O istnieniu innych poucza nas geografia medyczna. Dzieje kolonizacyi Algieru dostarczyły mnóstwa ciekawych w tej mierze faktów. Okazało się, iż francuz z departamentów północnych (zwykle podłużnogłowy blondyn lub krótkogłowy szatyn) ulega gorączkom daleko prędzej, niż z południowych (pod-podłużnogłowy brunet) i stosunek ten przedstawia się jak 138 do 71. Gdy po wojnie francusko-niemieckiej tłumy alzatczyków wyemigrowały z zabranego kraju, wysłano je do Algieru — po rychłą śmierć. Tymczasem w tych samych miejscowościach hiszpanie, maltańczycy i południowi francuzi kolonizują się z całą skutecznością. Zgadza się to najzupełniej z faktem, zauważonym w poprzednim artykule, mianowicie, iż mieszaniec, pochodzący z krzyżowania blondyna podłużnogłowego z murzynem, jest bezwarunkowo mniej płodnym i długowiecznym, aniżeli gdy mamy przed sobą mieszane potomstwo murzyna a europejczyka z południa.

Widzimy, iż nawet w łonie szczepu „białego“ można już zauważyć niejaką zależność pomiędzy rasą a otoczeniem klimatycznem, zależność dostrzeganą nawet w tak nieznacznych odstępach geograficznych, jak rozciągłość Francyi w kierunku z południa na północ. Tak, śmiertelność w garnizonach wojskowych, pochodzących z północy, lecz stojących na południu, jest większą, aniżeli śród południowców, kwaterujących w miejscach swego pochodzenia. Atoli wspomniana zależność występuje w całej swej doniosłości dopiero wtedy, gdy wykroczymy po za naturalne terytorya rasy białej. Zwłaszcza statystyka kolonizacyi Indyj przedgangesowych przez anglików dostarcza wymownych świadectw. Podejrzywać ich wiarogodności nie mamy najmniejszego prawa, tem bardziej, iż wskutek odnośnego doświadczenia rząd angielski wypracował szczególną topografię rozmieszczenia armii. Otóż okazało się przedewszystkiem, iż śmiertelność ogromnie wzrasta śród przybyszów i wielokrotnie przewyższa rozmiary chorobliwości ludności tuziemnej, jak wiadomo, z gruntu czarnej (i jedynie w wyższych warstwach nieco zmienionej wskutek tysiącoletnich napadów „aryjskich“ i „mongolskich“). Wówczas gdy śmiertelność śród sipajów (tuziemnych garnizonów) wynosi w Bombaju 64, w Pournahu 76, Szalaporze 21 itd., tymczasem dla batalionów, złożonych z czystych anglików, odpowiednie liczby wypadają: 553, 187, 202, itd. Szczególniej niekorzystnie dla anglików przedstawiają się dane śmiertelności z chorób gorączkowych. Kiedy choroby wątroby unoszą z pośród sipajów w Bengalu 7, Bombaju 19, Madrasie 13, jednocześnie u angielskich żołnierzy sprawiają one istotne spustoszenia: 400, 410, 290! W wypadku dezynteryi, gorączki febrycznej itd. otrzymujemy podobne cyfry. Lecz przybycie do Indyj przedgangesowych grozi anglikowi nietylko śmiertelnością. Równolegle zmniejsza się płodność przybyszów, co występuje między innemi w zwiększonym procesie poronień i niezwykłej śmiertelności śród dzieci, zwłaszcza w wieku do lat 5. Mianowicie na 67 dzieci zmarłych w Anglii w wieku do lat 5, 8 w wieku lat 5—10 i 5 w okresie 10—15 letnim, śród wychodźców do Indyj przypada jednocześnie 148, 17 i 11! Jeżeli nawet jakieś dziecko wychowa się, rzadko pozostawia po sobie potomstwo. Ten stan rzeczy sprowadził odpowiednią praktykę śród zamożnych anglików, mieszkających w Indyach — wysyłania dzieci na wychowanie do Anglii. Dr. Wise, który praktykował w tych koloniach przeszło lat 30, oświadcza, iż nie zna ani jednej osoby czystej krwi europejskiej w trzeciem pokoleniu. Anglicy mogą więc panować nad Indyami przedgangesowemi i wyzyskiwać wszelkimi możliwymi sposobami ludność tuziemną, lecz o osiedleniu się na stałe, jak w północnej Ameryce, nic mogą ani marzyć.

Wybraliśmy dla przykładu Indye przedgangesowe, jedynie z tego powodu, ponieważ, dzięki urzędowej statystyce, nauka posiada pod ręką niewątpliwej wiarogodności świadectwa. Atoli niemożliwość wyżycia

*) „Acclimatation, or the comparative influence of Climate, endemic and epidemic Deseases of the Races of Man“ w zbiorowem dziele *Indigeneous Races of the Earth.*

— Senność— odrzekł filozof — budzi politowanie, nie zaś zgrozę. Siła złej woli nie jest senną — jest to ptak nocny, co przeklina światło, że budząc ptaszyny, odbiera mu łatwe łupy.

— W takim razie zamiast rozpaczać, powinniście rozniecać coraz większe światło. Wielkie idee wymagają wielkich zabiegów. Im wynioślejsze i trwalsze drzewo, tem więcej potrzebuje czasu, żeby dojść kresu dojrzałości.

— Widziałem okazy, które nie dochodząc tego kresu, miały wnętrze stoczone próchnem i wówczas gdy podziwiano ich potęgę, padały pod własnym ciężarem; nieraz mniemamy, że taki los czeka i nasze idee...

— Zwątpienie jest rdzą — przerwał monarcha — która najtwardszą stal kruszy, lecz szlachetnego metalu nie tknie. Prawdziwy mędrzec nie rozpacza. Drzewa padające od własnego ciężaru, urosły z zatrutych ziaren.

— Bez wątpienia; lecz widziałem także wiekowe drzewa pełne jędrności i siły, ginące pod toporem drwala.

— Prawda nie może zginąć; Feniks z popiołów się odradza.

— Z popiołów — być może, lecz jeśli go przygniotą gruzami i rumowiskiem, a skrzydła wyłamią, czy i wówczas się wyzwoli?

— Azali krwią szafujecie jeszcze? Może drugi topór nosi nazwę szlachetnego oręża?

— Niestety, hołdujemy mu — odrzedł syn ziemi. U nas myślą, że oręż nie zawsze jest prześladowcą prawdy, że nieraz broni jej.

— Dziwna to prawda — rzekł zadumany władca — która potrzebuje krwi. Zresztą kiedyś, przed wieki i u nas mniemano, że topór, który wśród puszcz założył rolnicze osady, urządził drogi, zatamował wylewy morza, wyniszczył dzikie hordy — że ów oręż i nadal powinien być mesyaszem; aż zrozumieliśmy jego znaczenie i odrzuciliśmy go. A teraz widzisz co się stało.

— Jakto! — przerwał uradowany filozof — więc i ziemia będzie błogosławioną, więc i na niej...

Na swe pytanie nie otrzymał odpowiedzi, bo w tej chwili zbudził się ze snu.

Wstał, odział się i wyszedł na miasto. Deszcz zimny, drobny padając z góry, przedzierał się przez suknie i przejmował ciało chłodem. Po błotnistych chodnikach przesuwały się głodne odarte postacie.

Wynędzniały, blady chłopak, mijając marzyciela, wsunął rękę do jego kieszeni, a nic w niej nie znalazłszy, trącił go brutalnie łokciem i popędził dalej.

— Oto jest życie — podumał starzec — pośliznąwszy się w rynsztoku.

Brolis.

dla „europejczyka“ pod równikiem jest jeszcze znaczniejszą. Wówczas gdy murzyni żartują sobie wprost z chorób gorączkowych, biały pada prawie zawsze ich ofiarą. Na tysiąc wypadków żółtej febry śród białych, przypada u murzynów jedynie 190. I zmiana otoczenia oddziałuje nietylko pod względem fizycznym, lecz jeszcze dotyka i umysłowości. Zauważono, iż u białych pod zwrotnikami ukazuje się jakieś szczególne rozdrażnienie nerwowe. Człowiek nawet najłagodniejszego temperamentu staje się nad wyraz popędliwym i niecierpliwym, gotowym za najmniejszą rzecz karać winowajcę. W tem znajduje poniekąd swe wyjaśnienie ów fakt okrucieństw rasy „białej“ w strefie równikowej. Do tego dołącza się osłabienie działalności umysłowej — niejakie wprost lenistwo mózgu, co weszło nawet w przysłowie w odniesieniu do kreolów. I jak rasy „biało“ z północy Europy z najwyższą jedynie trudnością mogą wyżyć i z jeszcze większą zostawić zdrowe i inteligentne potomstwo pod zwrotnikami, podobnież i murzyn jest unieruchomiony do swych przyrodzonych terytoryów. Lecz gdy skandynawczyk na południu pada ofiarą gorączkowych chorób, czarne dziecię Afryki umiera znowu na północy od słabości piersiowych. Już na Cejlonie śród tysiąca zmarłych murzynów suchoty zabierają 10,5, tymczasem gdy na tysiąc zmarłych anglików, suchotników przypada zaledwie 4,9; w Gibraltarze stosunek wzajemny w tej mierze przybiera już straszliwe rozmiary: 43 do 5. A wszakże ostatnia miejscowość należy do najbardziej położonych na południe w Europie.

Fakty zupełnie potwierdzają wywody szkoły Mortonowskiej. Oddzielne grupy ludzkości są, że tak się wyrazimy, poniekąd zespolone z odpowiedniemi otoczeniami klimatycznemi. Murzyn może żyć i rozpładzać się jedynie w okolicach równika, podłużnogłowy blondyn — w obrębie stosunkowo wysokich szerokości. Dla pierwszego już nawet południowa Europa przedstawia nie zawsze odpowiednie warunki. W tych faktach znajdują wyjaśnienie liczne zjawiska historyczne. Dosyć wspomnieć owe fale najezdcze podłużnogłowych blondynów z IV i następnych wieków, docierające jak Wandale aż do Afryki. Już Belizaryusz znalazł, zamiast wojowniczych hord, słabe i nieliczne szczątki; antropolog zaś obecnego stulecia naprożno by ich poszukiwał — tylko wyjątkowa obecność niebieskich oczu śród ludności odpowiednich okolic zdradza, iż niegdyś tu osiadły tłuszcze północnej rasy. Rzymianie w tychże miejscowościach pozostawili jedynie — ruiny, lecz nadaremnie oglądalibyśmy się za ich typem fizycznym. W poprzednim artykule mówiliśmy o zjawisku „rozniemczania“ Niemiec południowych, tj. o zanikaniu w Bawaryi, Tyrolu, Dolnej Austryi wysokich, niebieskookich a podłużnogłowych blondynów. Kiedy w grobach bawarskich z IV—V wieku ilość podłużnogłowców wynosi 50%, w obecnej Bawaryi dosięga zaledwie 0,8%! Penka nie waha się tłomaczyć to zjawisko tem, iż podłużnogłowi blondyni, jako rasa przeważnie północna, nie są zdolni do wyżycia w daleko cieplejszem środowisku klimatycznem, stawiając sam objaw na jednym poziomie z wymieraniem anglików w Indyach przedgangesowych.

Brak miejsca staje na zawadzie streszczeniu rezultatów, do których doszła nowoczesna antropologia we względzie odpowiedniości pomiędzy człowiekiem a otoczeniem klimatycznem. Jużeśmy mówili, iż geografia medyczna stawia roszczenie, aby obecny prąd kolonizacyjny, zamiast żywiołowego wyładowywania się w miejscowości zgoła nieodpowiednie, szedł według wskazówek nauki *). Głosy te zwróciły na się uwagę w sferach rządzących. Cokolwiekbądź jednak nastąpi, jedno nie ulega wątpliwości, iż o kosmopolitycznych zdolnościach rodu ludzkiego nie może być mowy, przynajmniej w obrębie dwóch bliżej rozpatrywanych grup — blondynów podłużnogłowych i murzynów. Tymczasem ludności południowo-europejskie, w podstawie których spoczywa szczególny typ antropologiczny — Cro-Magnoński i których ostatnim szczątkiem lingwistycznym jest mowa basków, zdają się posiadać stosunkowo większe zdolności co do wyżycia w klimacie zwrotnikowym. Niektórzy autorzy gotowi przyznać jeszcze znaczniejsze uzdolnienia aklimatyzacyjne grupie nieco pokrewnej z poprzednią — semitom; jeszcze inni — żółtoskórym krótkogłowcom, przynajmniej chińskiej ich gałęzi. Atoli te różnice nie dotyczą ani zasadniczych punktów, ani też uzdolnień aklimatyzacyjnych grup, rozpatrywanych szczegółowiej. Rasa biała, szybko rozpładzająca się i wylewająca z naturalnych swych siedzib, zostaje w ten sposób wstrzymaną w swym ruchu przez same warunki przyrodzone. Czy przezwycięży je? Nie umiemy na to odpowiedzieć. Nie ulega wątpliwości, iż możnaby w bardzo znacznym stopniu zmniejszyć niebezpieczeństwo ze strony różnych chorób gorączkowych przez zniesienie błot, ziejących zarazkami — rzecz zgoła możliwa do urzeczywistnienia w ciągu wieków. Następnie, prawdopodobnie znalazłyby się i inne środki zmniejszenia szkodliwych wpływów otoczenia. W każdym jednak razie, usadowienie się ludności białej pod równikiem na stałe wymaga odpowiedniego przystosowania się organizmu, co da się uskutecznić zaledwie przez całe szeregi pokoleń, i wytrwanie stosownej zbudowanych, tj. za cenę niezliczonych ofiar.

W tem miejscu nasuwa się pytanie, czy owa zaaklimatyzowana rasa biała utrzyma swą tożsamość fizyczną z krewniakami z północy, tj. zdolność krzyżowania się i wydawania płodnego typu mieszanego. Nie będziemy rozwiązywali tych zagadek. Natomiast musimy wspomnieć o środku, rozpatrywanym w paryskiem Towarzystwie antropologicznem — zdobycia środkowej Afryki dla cywilizacyi. Zatrzymujemy się nad niem nie dlatego, iżby przedstawiał jakąś wartość praktyczną, ale ponieważ przewybornie maluje śmiałość umysłową tego koła uczonych. Mianowicie fakty wykazują, iż mulat pod względem uzdolnień duchowych przewyższa swego czarnego rodzica, otrzymując jednocześnie w spadku po nim jego odporność względem zarazków gorączkowych i febrycznych. Jak wiemy, jest to nadto typ niestały, zbliżający się ku tej czystej rasie i wsiąkający w nią, z którą będzie się krzyżował. I oto jeden z członków Towarzystwa zauważył, iż starczy z Europy wysyłać systematycznie i odpowiednich rozmiarów wyprawy rozpłodników, aby z czasem ukazała się w Afryce nowa rasa, fizycznie i być może umysłowo zbliżona do białej, lecz ze zdolnościami odpornemi co do chorób gorączkowych...

* *
*

Skreśliliśmy ważniejsze zagadnienia, które prędzej czy później, w ten lub inny sposób winien będzie rozwiązać „ród ludzki“ w swem opanowywaniu i ujarzmianiu globu ziemskiego. Kwestye antropologiczne — możemy śmiało to wyrzec — są najważniejszemi śród ludzkości. Świadomość ich istnienia zaledwie dojrzewa, lecz i w tym nizkim stanie nie wychyla się z po za kół specyalistów, prócz jednej — aklimatyzacyjno-kolonizacyjnej. Nowoczesna kwestya społeczna — zatarg pomiędzy formami produkcyi a istniejącą ustawą prawno-polityczną z jednej, kapitału a pracy z drugiej strony — pochłania ogólną uwagę i czyni masy obojętnemi na wszystkie inne chociażby najżywotniejsze zagadnienia. Pojmujemy to zachowanie się i nawet sprzyjamy mu. O istotnym postępie tylko wtedy może być mowa, gdy całe masy są dopuszczone do korzystania ze skarbów i zdobyczy cywilizacyi. Co więcej, „hodowla“ umiejętna i świadoma maszyny mózgowej zapomocą doboru, o której marzy Galton, musi opierać się na poczuciu osobistem jednostek, tj. na pewnym wysokim stopniu masowej umysłowości — fakcie niemożliwym, póki tłumy będą zaprzężone w jarzmo pracy dla kogoś innego i odsunięte od źródła wiedzy. Atoli nowoczesna kwestya społeczna tyczy się dotychczas tylko pewnej części człowieczeństwa — społeczeństw Europy i Ameryki i przedstawia jedynie czasowe zawikłanie. Tymczasem skreślone obecnie zagadnienia dotyczą całego rodu ludzkiego i nie znają podobnego ograniczenia w czasie. To usprawiedliwia znaczenie, które im nadajemy. Anthropotheomorphus, być może, ukaże się kiedyś na globie ziemskim, lecz przedtem wiele przejść jeszcze czeka dwunożnego ssaka *).

Poprzestajemy obecnie na zagadnieniach antropologicznych. W krótkim czasie spróbujemy skreślić historyozofię antropologiczną, o którą tu i owdzie w szeregu niniejszych artykułów jużeśmy potrącali.

Lud. Krz.

WYNALAZKI.

Nowe naboje minowe z wodoru do użytku górniczego. W roku bieżącym odbywano próby z nowymi nabojami minowymi, które rozsadzają skały w skutek gwałtownego wytworzenia się wielkiej ilości wodoru w otworze miny. Gaz ten tworzy się działaniem kwasu siarczanego na cynk, drobno sproszkowany.

Wynalazca tej metody, Kosmann z Wrocławia, użytkuje w tym celu z pyłów gromadzących się w przyrządach destylacyjnych cynku. Pyły te spajają się w masy, mniej lub więcej gąbczaste, wytworzone głównie z cynku, pomieszanego w małej ilości z tlenkiem tegoż metalu, którego obecność jest w tym razie obojętną. Nabój składa się z rury walcowatej szklanej, ze zwężoną szyją, ścieśnioną również w punkcie znajdującym się pod szyją, w ten sposób, że cylinder szklany dzieli się na dwie części połączone z sobą za pośrednictwem zwężenia, średnicy 8 do 10 milimetrów. Zwężenie to jest pomieszczonem w ten sposób, że objętości dwu części są w stosunku do siebie, jak 1 do 4; część zaś mniejsza jest bliższą szyi cylindra. W zwężeniu większem mieści się mieszanina w równych częściach wody i kwasu siarczanego haudlowego. Po zapełnieniu nią, zwężenie zamyka się korkiem, wyrobionym z drzewa korkowego i kauczuku i w tym stanie cylinder oddaje się robotnikowi górniczemu. Ten wprowadza nabój w otwór miny i zalepia wszystkie szczeliny gliną garncarską, aby przez nie gaz nie mógł uchodzić. Następnie zapełnia się cynkiem sproszkowanym przedział górny, pozostawiając w nim pręt żelazny, którego koniec dotyka korka pomieszczonego w zwężeniu. Poczem zamyka się starannie nabój i otwór, pozostawiając pręt żelazny występującym na zewnątrz. Gdy robotnik chce wywołać wybuch miny, uderza w pręt, wbija go zatem w korek i druzgocze nabój. Kwas siarczany, zetknięty wówczas z cynkiem, wytwarza natychmiast wodór w wielkiej ilości.

---

*) Możemy tu wskazać pracę Bordiera *La Colonisation scientifique*, która ukazała się zaledwie przed dwoma laty.

*) Zresztą celowa hodowla ludzkiej „rasowości“ jest praktykowaną u australczyków. Dzikim tym chodzi naturalnie nie o maszynę mózgową, lecz o mięśnie i płeć. Praktykuje się tu środek, który lubo nie staje na zawadzie zaspakajania indywidualnych popędów płciowych, przeszkadza jednak zapłodnieniu. Dla podtrzymania plemienia wybiera się jedynie silaczy. O istnieniu podobnych zwyczajów podał wiadomość po raz pierwszy Miklucho-Maklaj w *Zeitschrift für Ethnologie*, 1880. *Ueb. die Mica-Operation.* Patrz także w 1882 *Ovarotomie bei Australier.*

Nabój długości 18 centymetrów i 25 milimetrów średnicy, zawierający 50 centymetrów sześciennych kwasu i 12 gramów cynku, wytwarza 4 litry i 9 centylitrów gazu wodornego, poddanego ciśnieniu 760 milimetrów. Według obliczeń wynalazcy, ciśnienie tego gazu pod objętością 90 centymetrów sześciennych, wywołałoby w otworze miny ciśnienie 44 atmosfer. Gaz wytwarza się szybko, robotnikowi jednak pozostaje dość czasu dla zabezpieczenia się, nim eksplozya nastąpi.

Doświadczenia, odbyte z wynalazkiem Kosmanna, powiodły się najzupełniej. Wybuch miny kosztować ma 10 do 15 centymów, odpowiednio do wymiarów naboju.

Według opinii chemika Tommasi'ego, biorąc zamiast cynku i kwasu siarczanego, węglan wapna i kwas chlorowodny, otrzymać można lepsze rezultaty i kosztem tańszym. Wytwarza się wówczas chlorek, wapno i kwas węglany, który jest mniej niebezpiecznym od wodoru tworzącego z powietrzem mieszaninę wybuchową i wymagającego wentylacyi.

Tommasi przytem podaje nową materyę eksplozyjną, niesłychanie energiczną. Jest nią nabój elektryczny z grubego szkła, rodzaj zamkniętego woltametru, opatrzonego stosownemi elektrodami, obejmującego roztwór chlorowodanu amoniaku, który stos rozkłada. Tworzyłby się wówczas kwas chlorowodny i chlorek azotu, ciało w wysokim stopniu wybuchowe. Doświadczenia mogłyby oznaczyć stopień koncentracyi roztworu i grubość, jaką wypadałoby nadać rurom. *W. N.*

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Alfred Konar: *Śpiąca królewna.*
W. Kosiakiewicz: *Nasz mały.*
Snopek, książka do czytania dla dzieci wiejskich.
Sprawa o wóz, czyli historya o jednym wójcie i jego pisarzu. Warszawa, 1888 r.

Oboje byli średnio zamożni, dobrze wychowani, młodzi i urodziwi. Poznali się w salonie. Zygmunt „ładnie tańczył i dueciki śpiewał"; Julia, jaśniejąca wdziękami, rozmyślała po całych dniach nad tem, co jej „do twarzy," a co „nie do twarzy..." On „nagle zaczął wzdychać, strasznie spoważniał i... oświadczył się." Ona, wiedząc od matki, że gdy się ma lat 23, wyjść za mąż koniecznie wypada, oddała mu swą rękę — bez udziału serca. Po ślubie ocknęła się w niej samowiedza: co ja tu robię, pomyślała, w jego mieszkaniu? — ja go nie kocham, on dla mnie obcy! I byłby to zapewne początek wielkiego, choć zwykłego na świecie nieszczęścia, gdyby Zygmunt urokiem skarbu, który pod „frakiem" salonowym starannie ukrywał — rozsądku, zacnego charakteru i uczuć płomiennych—nie zdołał podbić serca zaślubionej. Oto przypuszczalna osnowa zdarzenia, jakie p. Konarowi nasunąć mogło grzeszną chęć dosiadania skrzydlatego rumaka — pod romantycznym a zagadkowym „śpiącej królewny" znakiem. W gruncie tej niefortunnej próby, która nigdy zapewne światła kinkietów nie ujrzy, tkwi jaskrawy błąd psychologiczny. Julia, przekraczając po ślubie, wraz z Zygmuntem, próg wspólnego mieszkania, czuje się wobec niego obcą i od wszelkiej, żywszej sympatyi daleką. Znalezienie pod biurkiem nic nie znaczącego listu, rozmowa ze służącym, który swego pana, jako opiekuna wdów i sierot wychwala, cały wreszcie bukiet naiwnych poglądów i spłowiałych apostrof, skierowanych ku „śpiącej królewnie" —tak cudowną po upływie kilku minut sprowadza zmianę, że Julia „w upojeniu" — swego Zygmunta „wielkim" nazywa — „serce jej bije gwałtownie, łzy płyną z oczu" iogniste wyznanie „kocham" z ust się wymyka... Jeżeli to ma być głębsze, nie zaś czysto zmysłowe uczucie— narodziny jego są bardzo trudną do zrozumienia zagadką. Wpływ, jaki na bohaterkę mniemany Pygmalion wywiera, usiłuje autor przeprowadzić przez pewną gradacyę, której ślady odbijają się jedynie w niespodziewanych dla czytelnika wykrzyknikach Julii: „On jest przystojny!" „Jaki on szlachetny!" „Jaki on dobry!" „Ach! co się ze mną dzieje!" „Zygmuncie, ja drżę cała..." A może się chcecie dowiedzieć, jaką teoryę filozoficzną złożył p. Konar w głębi rzekomego „obrazka dramatycznego?" „Bo widzisz, najdroższa (mówi do swej wybranej), mężczyzna, chcąc stać się człowiekiem, musi się uczyć, musi cierpieć, zwalczać przeszkody i hartować swoje siły. Kobieta, jak śpiąca królewna, za jednem dotknięciem czarodziejskiej różczki miłości przywołaną bywa do życia. Przedtem nie była ani dobrą, ani złą — czekała w uśpieniu na tego, który miał ją zbudzić. Miłość daje jej siły, rozum, szlachetność, współczucie — wszystkie zalety, jakie kobieta posiąść może. Staje się ona naszym aniołem, celem życia, pocieszycielką — wszystkiem. Lecz biada *jeśli ten, który ją zbudził*, nie był dla niej wybranym przez Boga, ale przez ludzi, *nie kochał jej lub nie był kochany* (tu autor się trochę w swym platonizmie poplątał...). Wtedy biedna albo pozostanie bezmyślną lalką, albo czemś mniej, albo więcej, niż człowiekiem..." Takie wyłączenie kobiety z pod praw ludzkich, kwiatem... pleśni cuchnące, sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem i zasadami etyki— wprawia Julię w zachwyt i wywołuje najmniej w tem miejscu spodziewany objaw uznania: „Jaki on mądry!" Kojarzenie się wyobrażeń — zarówno w myślach Zygmunta, jak i jego wybranki—ulega fantastycznym podmuchom, przypominającym logikę ś. p. Rozbickiego. „Kocham cię (mówi bohater). Miłość moja — młodzieńcza, pierwsza (przed chwilą spowiadał się: „Będąc jeszcze młodzieńcem, pokochałem kobietę, niegodną tego uczucia..."), miłość jedyna — jest tak wielką, iż mógłbym rozżarzyć nią popioły (niewiadomo jakie? — świeżo ostygłe, czy dawne—w urnach przedwiekowych zamknięte?), a cóż dopiero ciebie (zarówno dla wybranki zaszczytne, jak dowcipne i zrozumiałe porównanie!), u której wszelkie szlachetniejsze zalety i uczucia zaledwie uśpione, drzemią tylko. Na pobiednie godziny (tu właśnie jest *subtelny cement logiczny*, na którego dostrzeżenie brak nam zgoła zmysłu) wynalazłem sobie *także* zajęcie (Zygmunt ma jakąś posadę, ale o żadnem „zajęciu" określonem dotąd nie wspomniano): to będzie na wydatki mojej pani, na jej stroje i fatałaszki..." Gdy w tem miejscu Julia odzywa się na stronie: „Jakie on ma śliczne oczy!" — miły odgłos radosnego zachwytu w zupełności pojmujemy — czarodziej w procesie budzenia królewny dotarł do głębi *wznioślejszych* swego bóstwa *zachcianek...* Na prośbę Julii, Zygmunt śpiewa „romans włoski." Bohaterka, pod wpływem serdecznego ognia i żalu za grzechy, popełnione przeciw prawdzie i miłości — uznaje się za niegodną swego męża (którego dotąd nie kochała) — nie wie sama, co począć: zostać zakonnicą, czy „powrócić do mamy i być *szapronem* (sic!) młodszej siostry;" „*dawać lekcye muzyki i francuskiego*, czy *życie sobie odebrać...*" Wezbrane uczucie wylewa się w rzęsistym łez potoku, a następnie dochodzi do swej apoteozy w uścisku małżeńskim.

Temat „Śpiącej królewny" — oddawna przez różnych mistrzów ograny — znalazł w p. Alfredzie Konarze bardzo spóźnionego o bladej barwie i wątłych siłach uprawiacza. Trudno cokolwiek dodatniego w tem niemowlęciu poronionem odkryć. Na prawach psychicznych się ono nie zna, etykę spotwarza, estetyce bluźni, a z elementarną logiką w ustawicznym zostaje rozbracie.

Grono płodnych nowelistów „minorum gentium" powiększył w ostatnich czasach p. Wincenty Kosiakiewicz. Działalność swoją rozpościera on szeroko: występuje zarówno w kuryerach, jak i miesięcznikach; puszcza w obieg swe utwory, jeden po drugim, i już nawet *Widmem*, zbiorem nowel grozi... *Nasz mały*, który niedawno zszedł z odcinka kuryerowego, obecnie, jako samoistny osobnik, stanął w szeregu na wystawach księgarskich.

Są to niby pamiętniki rodzinne, skreślone prostem a ciepłem piórem przez czeladnika kowalskiego. Gromadka ubogich sierot, rozproszona po różnych kątach, w miarę możności, otacza ciągłą opieką najmłodszego braciszka. Blada mu przyświecała gwiazda. Utracił matkę, drobnem będąc jeszcze dziecięciem. Żona biednego przewoźnika ofiarowała mu tymczasowy przytułek w izbie i łyżkę strawy. Przez jakiś czas nie miał nad sobą dachu — sypiał i jadał ukradkiem. Potem dostał się do ochrony, gdzie go po raz pierwszy urok nauki olśnił. Dzięki składkowej pomocy rodzeństwa, a głównie ojcowskim kowalczyka zabiegom, przekroczył progi szkoły elementarnej. Ujrzał się wreszcie w murach gimnazyum. Złote marzenia młodą opętały główkę. Siostry i bracia nazywali go już „doktorem" i pielęgnowali, jak klejnot rodzinny. Otrzymywane corocznie nagrody zdawały się być rękojmią świetnej przyszłości. Naraz zawisła nad nim czarna chmura, w postaci choroby. Opóźniono się z ratunkiem. Umarł. Jednocześnie prysło ogniwo, łączące w jeden pierścień rozproszoną drużynę.

Osnowa powieści jest prosta a piękna — bo porusza najskrytsze serca ludzkiego tajniki. Autor zna sferę, o której pisze. Nie można go nazwać literatem - artystą we właściwem tego słowa znaczeniu, a tem mniej — myślicielem; posiada on wszakże czuły zmysł spostrzegawczy, dobrą pamięć i zdolność plastycznego, choć zbyt może surowego odtwarzania pewnych, dostępnych swemu umysłowi okręgów rzeczywistości.

Dla dzieci wiejskich pani R. M. ułożyła bogatą w treść, książkę do czytania. Składa się ona z dwunastu działów. Pierwszy obejmuje szereg artykułów, określających części ciała ludzkiego; drugi opisuje chatę; trzeci wprowadza nas do łona rodziny; czwarty mówi o tem, w co ludzie się ubierają, co jedzą i piją; piąty zaznajamia z najbliższem otoczeniem zwierzęcem; szósty — z roślinami; dalsze oprowadzają po wiosce, polu, lesie, łące, wodach i drogach; odtwarzają wreszcie typ miasteczka i miasta. Wzorowemu uporządkowaniu materyału towarzyszy jasność wykładu, czystość języka i nieposzlakowana zacność tendencyj moralnych. Zauważymy jednak, że wyraz „gimnazista" (użyty na str. 143) jest obcą mowie naszej naleciałością.

Podobnie jak *Snopek*, na gorące poparcie zasługuje *Sprawa o wóz, czyli historya o jednym wójcie i jego pisarzu*, opowiedziana przez Wiktora Olszewskiego. Ma ona, prócz stylowej, tę szczególną zaletę, że sposobem powieściowym trafnie określa stosunek jednostki włościańskiej do gromady i urzędu gminnego, a rzucając właściwe promienie światła na jasne i czarne charaktery, przyklaskuje trzeźwym pracownikom, radzi dążyć do wyższej kultury i godność własną szanować.

A. G. B.

PO UPŁYWIE ĆWIERĆWIEKU.

Nawet dobry szachista nie jest zdolnym przewidzieć wszystkich możliwych kombinacyj, jakich będzie musiał użyć wskutek niespodziewanych poruszeń przeciwnika. Tem bardziej więc żaden przywódca politycznego stronnictwa nie odgadnie wszystkich zwrotów losu. Życie społeczne bowiem jest

daleko więcej zawikłane, aniżeli pionki i figury, ustawione na szachownicy. Niepodobieństwem jest tedy objąć naraz jednem spojrzeniem rozmaitych jawnych lub ukrytych przyczyn, które prędzej lub później odpowiednie zrodzą skutki. Stąd giętki polityk, a tylko takiego dzisiaj uważają za wzór doskonałości, nieraz dochodzi do zakreślonego celu wprost przeciwnemi drogami, aniżeli te, któremi początkowo kroczył. Porzucił je bowiem natychmiast z chwilą, kiedy spostrzegł, że pomylił się w rachubach lub przeoczył cośkolwiek. Stąd widzimy, że stronnictwa i przywódcy, stosownie do potrzeby, dzisiaj chwalą ludzi i rzeczy, których wczoraj mięszali z błotem, a jutro zwać będą ponownie rupieciami bez wartości.

Ciekawy przykład tego przerzucania się z jednej ostateczności w drugą, tego zmieniania sądu o ludziach i hasłach, przedstawia Józef Korzeniowski, a raczej zachowanie się wobec jego imienia i zasług stańczyków galicyjskich. Obecnie, gdy już minęło lat dwadzieścia pięć od dnia śmierci tego pisarza (17 września 1863), srodze a niesprawiedliwie niegdyś sponiewieranego, czas już krytycznie rozpatrzeć ów napad i późniejszą zmianę stanowiska.

Nie przeczuwał zapewne Kraszewski, zachęcając do pracy piśmienniczej siedemnastoletniego Judela Klaczkę, podówczas jeszcze stale mieszkającego w Wilnie, że z tego młodego żydka wyrośnie w lat kilkanaście później zaciekły szermierz konserwatyzmu i jedna z głów kliki stańczykowskiej. Nie mamy na razie dat, by dokładnie skreślić wędrówkę Klaczki i jego późniejsze losy aż do chwili, kiedy w r. 1857 znajdujemy go w Paryżu. Tam zawiesił się u klamki dworskiej Czartoryskich, jest przyjacielem Waleryana Kalinki i wraz z nim redaguje znane *Wiadomości*, pismo wychodzące aż po r. 1860. Danych do tej epoki z jego życia, niekrytycznych i pełnych chwalby, dostarczył Stanisław Tarnowski w sposób pośredni, pisząc panegiryk na cześć zmarłego Kalinki.

W tych więc właśnie latach wypadł z pod pióra, zaostrzonego metafizyką talmudu, śmiertelny grot, który głęboko utkwił w piersi Korzeniowskiego. Ów grot pozornie skromną nosił nazwę oceny powieści p. t. *Krewni*. Mieścił się w niej program stronnictwa, do którego Klaczko należał, znalazła również swobodne ujście żądza rozgłosu, która trapiła nieznanego jeszcze wtedy krytyka. W pamflecie owym nader zręcznie ustawił on wszelkie zarzuty. Zachował tam umiejętne stopniowanie, od lekkich bowiem przycinków przechodził do coraz to cięższych i złośliwszych. Przytem pomagał sobie odpowiednią metodą cytowania, polegającą na wyborze tych jedynie ustępów, zdań i słów, które odpowiadają przewodniej myśli krytyka, na opuszczaniu zaś wprost przeciwnych lub niedogodnych. Naprzód tedy pochwalił powieściopisarza jako artystę, a mianowicie przyznał mu „doskonałą znajomość świata i dosadne kreślenie charakterów,“ następnie „wielki talent opisowy, świetny dar plastycznego kształtowania,“ a w końcu „humor wyborny i wytworny.“ Do tych pochwał przecież tu i owdzie przydał dość złośliwe uwagi, które osłabiły moc słów pochlebnych. Zwolna wysuwały swe rożki rozmaite nagany większej wagi. I tak moralność Korzeniowskiego jest „kuchenną“; nadto pełza on ustawicznie po ziemi, nie wznosząc się wyżej w powietrzne szlaki na skrzydłach poetycznego natchnienia. Stąd pochodzi „ubóstwo treści, a nudzenie opisem.“ „Idealna strona życia ludzkiego jest zupełnie przytłumioną przez powszedniość.“ Najcięższy strzał leżał na spodzie kołczana. Obojętność dla własnego społeczeństwa miała wiać, podług Klaczki, z utworów autora *Karpackich górali*.

Po tej ocenie posypały się inne, równie złośliwe, a pisane przez krytyków, należących do stronnictwa Klaczki i Kalinki. Najgłośniej i najbrutalniej musiał odzywać się Siemieński, gdyż jego to nazwisko znajdujemy wymienione, tuż obok Klaczki, w testamencie Korzeniowskiego. Oto odpowiedni ustęp: „Wszystkim tym, którzy mi za życia nie sprzyjali, którzy mi jakąkolwiek wyrządzili krzywdę, przebaczam z całego serca, nawet Klaczce i Siemieńskiemu, prosząc Boga, aby im dał tyle dobrej wiary, ile mają zdolności i nauki.“

Dzisiaj, po latach dwudziestu pięciu, dziwna zaszła przemiana. Ci sami ludzie, którzy oburzali się na to, że Korzeniowski handel, przemysł i rzemiosła wskazywał w *Krewnych* synom szlacheckim jako trafny i stosunkowo najlepszy sposób zaszczepienia żywotnych soków w organizm społeczny, zaczęli sami głosić w lat kilka później, program pracy organicznej, rzucając przytem gromy na idealizm i romantyzm pod każdą postacią. Ci, którzy Korzeniowskiemu zarzucali lojalność, wynajdują słynne zdanie: „Przy tobie stoimy i stać chcemy.“ Nawet nie poprzestają na tem, bo jak dzieci za bawidełkiem, tak oni chciwie uganiają się za wszelkiemi czarno-żółtemi świecidełkami. Ten sam Klaczko, ów niezłomny Kato, ugina karku i przywdziewa suto haftowany mundur austryackiego *hofrata*, stopnia w tamtejszych stosunkach dość wysokiego. Lecz co najzabawniejsze! Ci, którzy oburzali się na to, że bohaterowie Korzeniowskiego dopiero w wojsku stają się porządnymi ludźmi, sami swych synów-wisusów oddają do szkół kadeckich i uważają za wielki zaszczyt dla siebie, skoro ci zostaną podporucznikami piechoty austryackiej.

Owa zmiana równoległą drogą posuwała się i w literaturze. Nietylko postępowcy, jak Widman, nietylko konserwatysta Rzązewski lub Winkler w Poznaniu oddają cześć zasługom obywatelskim i literackim Korzeniowskiego, lecz nawet członek stańczykowskiego stronnictwa, lub bardzo blizko z temże związany, Klemens Kantecki, oczyszcza jego pamięć z wszelkich zarzutów. Jest rzeczą ciekawą czytać, jak np. Rzązewski, wbrew zdaniu Klaczki, mówi w ten sposób: „Od dzisiejszych powieściopisarzy wyróżnia się Korzeniowski wysoko idealnym na świat i jego stosunki poglądem. Nigdy on nie pełza po ziemi, ale i z najniższego-punktu umie się podnieść do nieba. Najprozaiczniejsza, najzwyklejsza okoliczność, której się dotknie, pod wpływem jego talentu zmienia się natychmiast na odpowiednią dla sztuki przedmiot.“

Kantecki zaś na końcu swej znanej monografii (*Dwaj Krzemieńczanie*), pisze jak następuje: „Życie K., jakkolwiek wogólności szczęśliwe, jednakże w swym długim biegu nietylko zgonem ukochanego dziecka było ciężko przerwane; ileż tam bowiem mniejszych i większych przykrości zgotowały mu źle uprzedzone jednostki społeczeństwa, dla którego z tak wielką wytrwałością i z tak świetnem powodzeniem pracował — owi niesumienni szermierze pióra, który nieraz tak lekkomyślnie decydują o czci i sławie bliźniego!..“

Cięższego zaiste potępienia z ust własnego stronnika nie mógł Klaczko usłyszeć.

Jeden tylko krok przywróciłby mu poważanie u przeciwników Jeżeli przed laty działał z dobrą wiarą, a nie z politycznej zawiści, jak półgębkiem ku jego obronie szepczą dawni towarzysze z Paryża, to teraz, skoro przekonał się, że błędnym i niesprawiedliwym był jego zaoczny wyrok, powinien swe słowa odwołać i w ten sposób przebłagać cień zmarłego. W *Mnichu* bowiem, którego przekładu, ongi w ciasnych i ciemnych uliczkach Wilna mieszkając, na język hebrajski dokonał, tą drogą król Bolesław i rycerz Śreniawita zmazali swe winy wobec zamordowanego biskupa, Stanisława ze Szczepanowa. Ideały młodości tedy powinny wziąść górę nad miłością własną lub źle zrozumianą dumą.

Adam Nowicki.

NOWE WYDAWNICTWA RUSIŃSKIE.

S. O. Ostaszewskyj: *Sto bajek*. Lwów, 1888.

„Gute Menschen sind gewöhnlich schlechste Musikanten“ — rzekł kiedyś Heine, i miał słuszność. Śp. Spirydion Ostoja Ostaszewski (ur. 1797, zm. 1875 r.) był bezsprzecznie, jak dowodzi przedmowa obecnej książki, dzielnym i uczciwym człowiekiem, gorącym patryotą, tęgim żołnierzem i jeszcze tęższym gospodarzem— ale poetą stanowczo nie był. Mimo że Ukrainę nazywał swą matką, język ukraiński znał tylko od biedy, część jego powszednią, potrzebną do zwykłej rozmowy z chłopami poddanymi. Nie był ani myślicielem, ani moralistą, to też nie dziw, że wziąwszy się do rzemiosła całkiem nie leżącego w zakresie jego zdolności, spłodził — prócz dwu innych, także obecną książeczkę.

Pod względem formy poetyckiej, języka i pojmowania treści *Sto bajek* jest lichą ramotą, o której nie wartoby nawet wspominać i za które literatura rusińska wcale nie poczuwa się do wdzięczności autorowi i wydawcy. Literatura ta, mimo swego ubóstwa, szczyci się jednak w dziedzinie bajkopisarstwa utworami pierwszorzędnej wartości, jak „Pan ta sobaka“ Hułaka Artemowskiego, prześliczne „Prykazky“ Hrebinki, bajki Klibowa, Szewczenki; a w Galicyi Domkiewicza. Wypracowania p. Ostaszewskiego godne są jednak uwagi z innego względu. W nich, jak w zwierciadle, odbija się widnokrąg moralny autora, a raczej tej warstwy, do której on należał, nieliczne wprawdzie, ale przemożnej inteligencyą, majątkiem i znaczeniem rodowem — słowem szlachty ukraińskiej.

Zaraz pierwsza bajka „Wił i pohonycz“ przedstawia następujący obrazek. Wół idzie w pługu, widzi, jak mysz nosi żołędzie, mrówka patyki, pszczoła zbiera miód, pająk snuje pajęczynę, więc z pogardą odzywa się: „Ci nic nie pracują!“ Na to poganiacz poucza go w ten sposób: „Ty głupcze, który ciężko pracujesz, myślisz, że to im przychodzi nie trudno. I ty byś nie pracował, jak one, z własnej chęci, gdyby cię bat mój nie pędził do pracy. Dobrze ci, że masz paszę w zimie, a u myszy jej nie ma. Jej nikt nie da, tak jak ja tobie, bydlę, noszę w zimie słomę i siano!“ Następuje szeroka perora o konieczności pracy, i kończy się wreszcie słowami: „Myślisz, że trudniej pługiem orać, niż siedzieć za stołem i machać piórem? Cięższe pióro, niż pług, dlatego, kto nie przywykł: ja sam uciekłem od pióra do pługa.“ Oczywiście poganiacz to nie prosty, ale piśmienny, może i sam autor, wół zaś oczywiście — chłop, pracujący na pańskiej roli. I jakąż to filozofią raczy go inteligentny poganiacz? Najcięższy zarzut, jaki podnosi przeciw owemu chłopu, jest ten, że nie pracuje na pana dobrowolnie, ale tylko pod przymusem bata. Stawia mu za przykład mrówkę, mysz, pszczołę, pająka, które pracują dobrowolnie; zapominając jedynie, że czynią to dla siebie. Zdaniem inteligentnego poganiacza praca, bez względu na inne okoliczności, jest celem człowieka, szczególnie zaś chłopa-wołu. On, inteligentny poganiacz, pracuje także: w wolnych chwilach piórem, pisząc *Sto bajek*, a gdy mu się to sprzykrzy — idzie na rolę i ciężko trudzi się, poganiając chłopa.

Co prawda, inteligentny poganiacz dba o wołu. W niedzielę nie broni mu potańczyć i zabawić się, a nawet, jak uczy bajka 39, rad widzi, gdy wół przy hulance wypije parę wiader gorzałki i niechętnem okiem spogląda na „popa,“ który napomina ludzi do trzeźwości. Zresztą jako inteligentny wie on, że dla tego wołu najlepszą przyprawą jest i powinien być— głód; bardzo więc chwali matkę, która zapomocą głodzenia przekonywa swe dziecko, że kasza, która pierwotnie wydała mu się niedobrą, jest

właściwie największym przysmakiem na świecie (bajka 52). Inteligentny poganiacz zna i wysoce ceni „prawa boże,“ szczególnie te, które każą wołom pracować na niego i giąć kark pod batogiem, i w bajce 56 wraz z kotem narzeka na ptaka, który „nie słuchając praw bożych — uciekł w chwili, gdy go kot chciał złowić.“

Szczególnie stara się inteligentny poganiacz wyplenić z serc swych wołów i innego „bydła“ każdy najmniejszy ślad nieposłuszeństwa, dumy, lenistwa, zazdrości i tym podobnych przywar. Bardzo często i z różnych stron powraca on do tego ulubionego przedmiotu (nr. 3, 5, 8, 10, 14, 17, 33 itd.). Nawet prosta ciekawość i chęć do oświaty jest nie dobrą i nie odpowiednią charakterowi wołu roboczego i w bajkach zawsze wychodzi mu na złe (nr. 11, 41 i dr.). Lecz największą klęską dla wołu-chłopa jest swoboda. Tylko w niewoli umie on szanować swego pana; wypuszczony na wolność natychmiast płaci mu czarną niewdzięcznością, jak pies spuszczony z łańcucha (nr. 31), lub ginie marnie, jak jagnięta bez pasterza (nr. 14). Ideałem inteligentnego poganiacza jest pies, który służy mu dobrowolnie, całą siłą swego ciała i duszy, zadawala się tem, co dają i nie porzuca swego pana mimo wszelkich kijów i szturchańców. Filozofia społeczna inteligentnego poganiacza streszcza się w dosadnym iście wierszu (str. 12):

„Woła byj batohom, śmiło wir sobaci!“

Z krwawą miną spogląda inteligentny poganiacz na skutki prawa z r. 1861, i w bajce 18 tak opowiada: „Niedawno to chłop spotkał pana, nie zdjął czapki i nie pokłonił się i myślał, że pan będzie się bardzo gniewał, ale nic mu nie zrobi, *bo bić nie może*. Pan jednak ani nie zważał na to, że chłop nie zdjął przed nim czapki.“ Ba, gdyby mógł bić, to byłby pewnie tego płazem nie puścił, teraz zaś zadawala się jedynie pobożnem westchnieniem: „Gdy będziesz miał rozum, to będziesz wiedział, kogo szanować.“ Rzecz oczywista! Przez to długie stulecia, kiedy chłop był wołem i niczem więcej, nie było czasu ani sposobności zdobyć tej mądrości!

Z owych szczęśliwych, złotych czasów wspomina nasz inteligentny poganiacz jedną „złotą legendę,“ pod nr. 49. „Sześcioletni chłopczyk przyszedł do dworu i pytał pana, czy niema dla niego roboty, bo koniecznie potrzeba mu coś zapracować. Pan w śmiech: a na cóż tobie? Bo matka zasłabła, taka chora, że nie może ruszyć się z podłogi, a w domu, choć płacz, niema co dać jej jeść. Pan rzekł: gdy już taką masz ochotę, to dam ci robotę i to nie jedną. Zaraz ci zaprzęgną mój wóz ładowny, byś odwiózł matce to zboże. Potem siadaj na bryczkę, kiedy matka chora, przywieź zaraz lekarza, bo trzeba ją leczyć.“ Co za śliczna, co za wzruszająca legenda! Pan, na którego łanie owa kobieta pracowała całe życie, u którego w służbie umarł jej mąż (jeżeli nie został przez tego samego pana oddany do wojska) — brał to wszystko jako rzeczy naturalne. Nawet choroba owej kobiety wcale go nie wzruszała. Dopiero pojawienie się sześcioletniego dziecka, które prosi roboty, *rozśmiesza go z początku*— a potem nagle wzbudza w nim bajeczną wspaniałomyślność. Szczęśliwa klasa, która może z czystem sumieniem sama swą przeszłość takiemi ozłacać legendami! Dlaczego to mój nizki, niewdzięczny, bydlęcy, chłopski ród nie zachował w mej pamięci ani jednej podobnej legendy!..

I. Franko.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Trudne zagadnienie: kiedy się cieszyć, a kiedy smucić. — Przeciwieństwo interesów klasowych, branych za ogólne.— Westchnienia nad zwyżką rubla.— Pożądany i daremnie oczekiwany mąż, który nam łzy będzie ocierał. — Treny kamieniczników. — Groźba dla ogonów hypotecznych. — Własna wina. — Błędne koło rozbiorów chemicznych. — Gorszące zajście. — Dwie racye jednakiej słuszności. — Wystawa nasion w Muzeum przemysłu i rolnictwa. — Doniczka i rola.

Dopóki nie ukaże się jakaś gruntowna praca o zależności naszego szczęścia ekonomicznego od kursu rubla na giełdach zagranicznych, nie będę wiedział, a ze mną wielu, kiedy mamy się radować, a kiedy smucić. Jest to nawet dla czytelników moich wypadkiem bardzo nieprzyjemnym, że w tej sprawie nie mogę mieć osobistego zdania, gdyż jakkolwiek kiedyś w walce o „zasady“ posiadacze dziurawych butów, patrząc zezem na moje całe, opowiadali narodowi ewangelię ze znaczącą przypowieścią o pozytywistach tłustych i chudych, nic a nic nie oddziałało to na moje bardzo chłodne stosunki z *Kurszetlem*. Ponieważ zaś dotąd on ani nie ogrzewa mi uczuć, ani ich nie ziębi, więc mogę i pragnę być tylko tłomaczem cudzych. Ale wsłuchując się w radości i smutki otoczenia, nigdy nie wiem, co właściwie jest naszą dolą, a co niedolą: nizki, czy wysoki kurs rubla. Skoro bowiem spadł on do tak mizernej wartości, że myślano wyrabiać z niego w Berlinie obicia pokojowe, rozległ się w naszym świecie kupieckim krzyk trwogi i rozpaczy: wieszano się, strzelano, ogłaszano upadłości, a ci, co zaczepili swą przyszłość na promieniach odległej, zamglonej nadziei, błagali na klęczkach Merkurego, ażeby im pozwolił przetrwać klęskę i pokryć zobowiązania pieniężne względem zagranicy. Jednocześnie wytwórcy produktów wywozowych, zwłaszcza rolnicy wznosili do nieba dziękczynne modły za dobrodziejstwa z obniżonego w wartości rubla, który im podnosił ceny pszenicy i żyta. Komu lepiej życzyć— kupcom, czy rolnikom? Chociaż serce ma kilka komórek, cały swój lokal wynajmuje tylko jednej miłości. Kiedy więc barometr giełdowy opadał dla naszego „papierka“ niemiłosiernie, współczucie moje jak wahadło kołysało się równomiernie między weselem jednych a boleścią drugich. Nareszcie rubel już nie poszedł, ale podskoczył w górę. Zmieniły się role, chociaż przeciwieństwo tonów pozostało to samo: ci, co płakali, śmieją się, a ci, co się śmieli, płaczą. A nawet jak gdyby płacz wzmógł się. Do rolników przybyli częściowo kupcy i przemysłowcy. Tak np. fabrykanci wyrobów bawełnianych pragnęliby ściągnąć rubla na dół, ażeby im nie sprowadził na rynki tutejsze perkalów zagranicznych. Wszyscy wielbiciele ceł ochronnych, to znaczy: cała niemal parafia Towarzystwa popierania przemysłu i handlu uderzyła w dzwon alarmowy na trwogę. Naturalnie rolnicy, te nigdy niemilknące i niezmieniające swych nut żałosnych czajki dołączają do tych narzekań swoje utyskiwania. A zatem podwyżka kursu rubla jest także złą. Co by też nam dogodziło? Przedewszystkiem gruntowniejsza wiedza ekonomiczna i lepsza znajomość spraw kraju. Ponieważ nam tej i tamtej brak, więc ustawicznie interes tej lub owej klasy, tej lub owej warstwy społecznej utożsamiamy z interesem całego narodu. Skarżą się ziemianie, przemysłowcy, kupcy, właściciele domów, wydawcy, literaci—my żalowi wszystkich wtórujemy naszem współczuciem i nakazujemy przywdziać żałobę ogólną. Że zaś kiedy jedni zyskują, drudzy tracą, przeto owej żałoby nie zdejmujemy nigdy, czy rubel podnosi się, czy spada. A przecież w ostatnim, czy w poprzednim wypadku *większość* narodu musi korzystać lub tracić. Nie rozwiąże tej zagadki żaden adwokat dziennikarski, broniący tylko interesu swej strony; ani żaden artykuł, usnuty z wrażeń, natchnień i dobrych chęci; tu trzeba wszechstronnego i głębokiego rozbioru stosunków, którego nigdy w sprawach tego rodzaju nie mamy. Jest to prawdziwem nieszczęściem, że nasz grunt, tak płodny w najrozmaitsze uzdolnienia, rodzi umysły ekonomiczne przyziemne, karłe, małe. Posiadamy w tej dziedzinie mistyków, fantastów, protokulistów, sejmikowiczów, pokątnych doradców, buchalterów statystycznych, ale tego orlego wzroku, który ogarnia szeroko widnokręgi, tej wiedzy bogatej, dla której zjawiska nie są niespodziankami, tego rozumu, który z faktów duszę wydobyć umie — ciągle nam brak. W naszej literaturze i prasie nie widzimy ani jednego człowieka, któryby obejmował całość życia ekonomicznego, któryby bezustannie badał jego rozwój i zależność od stosunków zewnętrznych — nic też dziwnego, że wytwarzamy sobie doraźne teoryjki, że błąkamy się w domysłach, że błogosławimy to, czemu by złorzeczyć należało. Jest to aż przykrem, że od czasu gwałtownych wahań się kursu rubla najpoważniejszym głosem naszej prasy w tym przedmiocie był... przekład artykułu *S. P. Herolda*, który, naturalnie, naszych miejscowych interesów wcale nie dotknął. Chociaż znam wszystko to, co najbliżej naszego serca i w obrębie naszej uwagi leży, mam jakąś upartą wiarę, że gdyby u nas pojawił się znakomity ekonomista, zagłuszyłby swym donośnym głosem i zachwyty nad *Myszką*, i toasty dzielnych wioślarzów, i historye dalszych losów *Wicka i Wacka*, i oklaski dla powracających z urlopu artystek, a może nawet... Nie fantazyujmy — i w tych przypuszczeniach dość proroczego ryzyka.

Ten opatrznościowy mąż zapewne dałby nam również daremnie poszukiwaną radę, jak wybrnąć ze sprawy przykanalików, skoro już mamy kanały. Wiadomo, że właściciele domów nie chcą ich łączyć z kanalizacyą, tłomacząc się brakiem środków. Niektórzy, dosiadłszy *Kuryerów*, przypuścili szturm do kapitału zapasowego Towarzystwa kredyt. miejsk. Twierdza jednak odparła łatwo atak lekkiej kawaleryi oświadczeniem, że funduszu tego nie wyda, gdyż on jest podstawą jej zobowiązań i musi pozostać jako źródło ubezpieczające ją na wypadek przesileń finansowych. Jednocześnie Magistrat, który nie na to zaprowadził kanalizacyę, ażeby przez jej rury wiatry dmuchały lub ażeby pp. Lindleye swój „krwawo zapracowany“ grosz dostali, pozwał opornych do sądu. Są między nimi tacy, którzy pod groźbą odpowiedzialności ofiarę poniosą; ale są inni, z których nawet miecz Damoklesa niczego nie wydobędzie. Hypoteki kamienic już bardzo upodobniły się do hypotek majątków—ruszają swobodnie tylko ogonami, bo ich głowy i kadłuby przygniatają pożyczki. Skanalizowanie zaś domu wynosi od 2—10 tysięcy rs. Literatom ze śniadań, obiadów i kolacyj znani są szczęśliwcy tego świata; więc mistrzowie opinii mogą poświadczyć, że u nas posiadaczów tak obfitej gotówki jest bardzo niewielu. A cóż z obdłużonymi Magistrat pocznie? Skanalizuje ich kamienice własnym kosztem i otrzyma od sądu pozwolenie zapisania wydatków na szarym końcu hypotek? Pyrrhusowe zwycięztwo, które przytem sprawy bynajmniej nie rozstrzyga. Ci, do których dolatują odgłosy narad Towarzystwa kredyt. miejskiego, zapewniają, że ono ciągle rozmyśla nad sposobem pomożenia właścicielom domów, ale dotąd góra rodzi jedynie myszy i może nawet żywotniejszego potomstwa nie wyda. Tymczasem obywatele, którzy „nie mając kłopotu, kupili sobie cielę“ pod postacią kanalizacyi, skarżą się, że koszta połączenia z nią są

za ciężkie skutkiem zmonopolizowania przedsiębiorstw w kilku rękach, drących łyko niemiłosiernie. „Za granicą — mówią wyzyskiwani — natychmiast powstałyby spółki kapitalistów, ułatwiające posiadaczom kamienic dźwignięcie takiego brzemienia; u nas zwala je na barki nieuwzględniający ubóstwa środków nakaz i łowiąca napędzone przezeń ryby chciwość.“ Wytworzyła się tedy kwestya bardzo poważna, o której przedtem nikt nie pomyślał i która interesowanych zaskakuje znienacka. Czy rzeczywiście leżała ona tak daleko po za granicami wszelkiego przewidywania, że nikt jej nie dojrzał dawniej, po rozpoczęciu kanalizacyi? Zdaje mi się, że bez pomocy wyroczni można było tę chmurę na widnokręgu naszych spraw miejskich dostrzedz, a niezamożni właściciele domów sami są winni, że ją przeoczyli. Wszakże nie było dla nich tajnem, że muszą je skanalizować, że na to muszą ponieść pewne koszta, że pieniędzy nie posiadają: czemuż więc przed rokiem lub dwoma nie zwrócili się o ratunek do Towarzystwa kredyt. lub Magistratu i nie wynieśli tej sprawy na widok publiczny? Ale nie traćcie ducha: dowiedzą się holendrzy, belgowie lub niemcy o waszych opałach, przylecą do Warszawy i zrobią interes.

Jak dalece potrzebną jest pracownia chemiczna miejska, wykazuje gorszący zatarg, który długo kotłował się osłonięty tajemnicami redakcyjno-kupieckiemi, ale wreszcie ujawnił się i przeszedł do sądu karnego. P. Obuchowicz, wydawca *Przewodnika informacyjno-adresowego dla chorych* pomieścił w nim nieprzychylną ocenę d-ra Weinberga t. z. koniaku kuracyjnego (krymskiego). Bracia Kempner, handlujący tym wyrobem i zaopatrzeni odmienną analizą d-ra Nenckiego, wystąpili do walki, której przebieg zaprowadzi strony, obarczające się wzajemnie zarzutami, przed kratki sądowe. Chociaż p. O. przesłał nam w okólniku bardzo ciężkie oskarżenie przeciwko jednemu z reporterów i jego pismu, zakrywamy ten szczegół milczeniem i wydobycie go na wierzch pozostawiamy procesowi. Nadmienimy tylko, że pisma powinny być bardzo ostrożne w ofiarowaniu swej opieki jednej lub drugiej stronie i odsyłać je do ogłoszeń płatnych, a nadto, że sumienny organ kontroli publicznej musi co prędzej zastąpić opinie prywatne. Pomijając nawet wypadki świadectw kupionych, pomagających spekulacyi, najlepsza wola i wiedza rzeczoznawców nie zapobiegną nadużyciom i nie złamią błędnego koła, w którem ciągle się kręcimy. Ktoś przedstawia chemikowi butelkę piwa z prośbą o rozbiór i świadectwo piśmienne. Analiza wypada świetnie. Ale inny chemik kupuje butelkę piwa tejże firmy w pierwszym lepszym szynku i znajduje płyn ohydny. Rozpoczyna się kłótnia: jednemu sumieniu, wiedzy i świadectwu przeciwstawia się drugie całkiem inaczej mówiące sumienie, wiedza i świadectwo. Na pozór z dwu ostateczności jedna musi być kłamstwem. Tymczasem obie mogą być prawdą, obaj chemicy mogli wykonać analizy sumiennie, tylko każdy z nich ocenił co innego. Dodać trzeba, że często winien nie sam piwowar, ale szynkarz, nie fabrykant, ale pośrednik handlowy. Brzydką tę gmatwaninę wyprostuje urzędowa pracownia chemiczna, prowadzona przez człowieka uczciwego i działająca oględnie. Przedewszystkiem powinna ona nie przyjmować żadnych wyrobów przedstawionych jej przez wytwórców w szczególnych, umyślnie przygotowanych próbach, lecz brać je z miejsc sprzedaży i poddawać analizie. Jeżeli np. piwo pewnej firmy, wzięte z kilku sklepów i rozebrane, da rezultat zgodny, będzie można zawyrokować, jaki produkt pod tą marką znajduje się w handlu. Badania te powinny być wykonywane nietylko na żądanie przemysłowców i kupców, lecz także w charakterze rewizyi z własnych pobudek pracowni, która w osobnym organie (np. w *Zdrowiu*) uwiadamiałaby ogół o wynikach swej pracy. Wtedy nie będziemy spożywali nędznych fabrykantów, zalecanych dobremi świadectwami, wtedy ustaną kłótnie, procesy i dwie wzajemnie się wyłączające a jednako słuszne racye.

W Muzeum przemysłu i rolnictwa urządzono wystawę nasion. Jest to trzeci egzamin, ułożony z bardzo chwalebnych zamiarów wyzwolenia się od zagranicy. Przyznać trzeba, że w kierunku tych wyzwolin na polu rolniczo-przemysłowem zrobiono już u nas bardzo wiele. Przy Muzeum założono nawet pomyślnie działającą „stacyę oceny nasion,“ która rozbiera nadesłane próby i przeprowadza je przez szereg doświadczeń, mających na względzie warunki miejscowe. Popis obecny podobno już ogłasza niezależność naszej hodowli roślin gospodarczych. Niektórzy wystawcy rzeczywiście okazali dowody poważnej i umiejętnej pracy. Tak np. p. T. Łuniewski przedstawił 97 gatunków kartofli własnej uprawy. Jedno z pism radzi mu jechać do Paryża na wystawę międzynarodową; przypuszczamy, że rolnik, który posiadał dość rozumu do wyhodowania tylu odmian ziemniaków, będzie go miał i w dalszych przedsięwzięciach; my więc tylko zapisujemy świetny rezultat jego naukowo-gospodarczych usiłowań. Obok niego odznaczyło się wielu innych. Przeglądając jednak listę nasion wraz z wykazem ich plenności, mimowoli zadajemy sobie ciągle pytanie: czy te wyniki są otrzymane drogą uprawy zwykłej, czy też szczególnej, wytężonej, że tak powiemy — inspektowej? Mojem zdaniem dla rolników pożyteczną byłaby drobiazgowa znajomość warunków hodowli nasion okazowych i przedstawianie takich, które wychodzą z uprawy zwyczajnej, przeciętnej, niewymagającej wielkich nakładów. Jeżeli w doniczce otrzymam 30 ziarn jakiegoś zboża, tem jeszcze nie dowiodę, że ono tak płodnem będzie w roli i że ją należy niem obsiewać. Słowem, pisma rolnicze powinnyby czytelnikom swoim wyłożyć krytycznie wartość wystawianych nasion z odtrąceniem tego procentu ich przymiotów, który przypada na wyjątkowość uprawy.

Należy to zaś zrobić co prędzej, dopóki uwaga nie zatonie w rozkoszach karnawału jesiennego i zimowego. Pierwszy już rozpoczyna się zlotem ptaków artystycznych najrozmaitszego gatunku. O drugim żadnej jeszcze pewnej wiadomości udzielić nie mogę; dostrzegłem tylko, że w jednem z pism „dobrze poinformowany“ zawołał, zacierając ręce: tańczyć będziemy, o, będziemy!

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

O palce zmiażdżone. — Kolonizacya niemiecka i koloniści. — Nasze jarmarki i kto na nich dobre interesy robi. — Chmielarstwo z przeszkodami. — Ograniczenia spółki owocowej dla wytwórców. — Szkoła gospodyń wiejskich. — Ichtyolog Girdwojń i nasz patryotyzm. — Na co Bóg dał *pana*, a na co *chłopa*?

W roku 1884 do angielskiej przędzalni w Markach pod firmą „Briggs Poselt et Comp.“ przyjęto Maryannę Wiesiołowską, piętnastoletnią dziewczynę. Tydzień trzymano ją przy sortowaniu przędzy, dwa — przy maszynie. Wkrótce przywieziono z Anglii i ustawiono starą maszynę do mycia i suszenia przędzy. Z początku obsługiwał ją mężczyzna z robotnicą, potem Maryanna. Maszyna urządzoną była w ten sposób, że z przodu sterczał cały szereg kół zębatych, niczem nieubezpieczonych, pilnujący zaś prawidłowego biegu musiał stać również z przodu. Otóż gdy pewnego razu dziewczyna wyciągnęła lewą rękę do przędzy, koła zmiażdżyły jej wszystkie palce. Oddano ją do szpitala praskiego na kuracyę na koszt kasy robotniczej, a po wyzdrowieniu przyjęto znowu. Odtąd fabryka szukała tylko sposobności pozbycia się nieużytecznej kaleki. Trzy razy wymawiano jej miejsce pod pozorem krótkotrwałej choroby i tyleż razy na usilne prośby matki przyjmowano. Gdy już zanadto dokuczyła, spoliczkowano ją i wydalono na zawsze. Sprawa poszła na drogę sądową, jak zwykle bywa w takich razach i, jak zwykle, podsądni bronili się „własną nieostrożnością“ pokrzywdzonej. Zarząd nawet, pod groźbą złożenia dla dziewczyny 3,000 rs., oświadczył gotowość przyjęcia jej napowrót, z warunkiem wszakże, „iżby przestrzegała wewnętrznego porządku i szanowała majstrów“ (tego właśnie, który ją spoliczkował). Obrońca pozwanych zasłaniał swych klientów taką tarczą: „dziewczyna *sama* włożyła rękę w maszynę, oraz śmiała się i żartowała z robotnikami.“ Rewizya przez sąd dokonana na miejscu, orzeknie o losie skaleczonej i wygnanej.

Niemiecka komisya kolonizacyjna, przechodząca żarłocznością najbardziej wygłodzonych wilków, straciła zupełnie apetyt, zbytnio przeładowawszy swój obszerny żołądek ziemią poznańską. Dlatego nawet się nie oblizuje na widok licznych ofert, składanych przez właścicieli ziemskich. Od 7 lipca do chwili obecnej ledwie zdołała pochłonąć jedną Lednogórę o 983 hektarach. Żadne już środki pobudzające nie mogą zaostrzyć zepsutego apetytu. Próżno poci się rząd wirtemberski, zachęcając swych mieszkańców, a prasa niemiecka mozoli się, wystawiając w najpiękniejszych barwach położenie swych kolonistów na wschodnich kresach państwa. Żaden ochotnik nie zjawił się w Poznańskiem! Cóż się okazało? Oto, że chłop wirtemberski jest mniej naiwny, niż jego opiekunowie; nie ufając gorącym nawoływaniom, zasięgnął bezpośrednio szczegółów i przekonał się, że byłby wielkim odstępcą Vaterlandu, gdyby zechciał rodzinne swe miejsce porzucić. Bo jakież jest położenie gwałtem osadzonego na wschodnich kresach kolonisty? Najwyższe ceny zboża są dlań obojętne, gdyż po tegorocznych nieurodzajach niema nic do zbycia. Uciążliwa kontrola komisyi, aż do chwili zupełnego wykupienia zagrody, odetchnąć mu nie pozwala, wnikając w najdrobniejsze szczegóły gospodarstwa i ostro gromiąc za lada uchybienie. Służba przywieziona ze stron rodzinnych, ucieka od swych chlebodawców, nie mogąc się przystosować do ciężkich warunków. Liche piwo w okolicznych mieścinach wykrzywia usta niesmakiem, a nogi ciężko się poruszają, odzwyczajone od rozkosznych „reinlenderów“ i „steierów“ z niemkami. Zdawało się zrazu, iż daleko lepiej zastąpią miejscowi wyrobnicy niewdzięcznych spółrodaków, garnący się chętnie do kolonistów, gdzie im dobrze płacą i nieźle traktują. Ale dzienny najemnik jest za drogi dla kolonisty, a porozumiewanie się na migi za uciążliwe. To też pionierowie, przyszczepieni do obcego gruntu, zaczynają powoli się odrywać i zmykać nieznacznie *nach Vaterland.* Komisya, przetarłszy oczy, zmieniła cokolwiek poprzedni plan swej działalności i dziś uwzględnia już kandydatów katolików, lecz ani się spostrzegła, jak wielkiego figla ekonomicznego wypłatała większym właścicielom ziemskim we wschodnich prowincyach, zniżając wartość ziemi. Miota się i poci, biedaczka, widząc swe omyłki, wywołujące wprost odmienne skutki w niektórych razach. Obecnie coraz częściej majątki niemieckie przechodzą w ręce polskie. Niech teraz komisya wynajduje środki na złagodzenie gniewu większych posiadaczów, dla których nowi osadnicy bywają kolcami dotkliwymi, przyciągając ludność roboczą do siebie; miejscowy bowiem najemnik nad niemca - pana przekłada niemca - chłopa, względem którego czuje się równym i doznaje bardziej ludzkiego traktowania.

Nadeszła pora jarmarków; wiele ich, ale tak niewyraźne, jak dni jesienne, nikt nie jest pewny dobrego interesu, na twarzach wytwórców niepokój, każdy się boi, aby do domu nie powieść towaru niesprzedanego. A jednak są ludzie, co z uśmiechem zadowolenia sadowią się na targach. Takimi byli kupcy ze wschodu, sprzedający kożuchy na jarmarku w Łecznie. Podobno, pomimo wielkiego zapasu, zabrakło im towaru, a ludność okoliczna szybko rozchwytała ciepły przyodziewek. Jeden wielce obiecujący jarmark chmielarski w Warszawie nie przyszedł do skutku. Nasi nieliczni lecz wytrwali plantatorowie chmielu z upragnieniem oczekiwali zebrania w końcu września, gdzie sprawa projektowanego towarzystwa udziałowego miała się posunąć „daleko naprzód.“ Tymczasem zawód! Jarmark odłożono aż do roku przyszłego „z powodu różnych nastręczających się formalności, których dotąd nie zdołano załatwić.“ Do spółki zaś akcyjnej brak jeszcze sporo kapitału. Na ostatnim zjeździe dokonano bardzo ciekawej roboty — spisu wszystkich wiadomych w kraju plantacyj chmielu. Produkcyę ich obliczono na 12,000 pudów, gdy same tylko browary warszawskie spotrzebowują 18,000 pudów chmielu rocznie.

Zanim powstanie Towarzystwo chmielarskie, pozwólmy zajrzeć do działalności spółki owocarskiej. Zarząd tej instytucyi ogłosił niedawno, iż „jedynie pewną ściśle oznaczoną ilość i kilka wyborowych, imiennie określonych gatunków, nabywać będzie w roku bieżącym.“ Szkoda, że spółka, szeroką działalność zapowiadająca, tak srodze zmalała. Bywa to tak zwykle, gdy się nakreśla prostą linię przed siebie, z mocnem postanowieniem patrzenia na jej punkt krańcowy, a nie rzucania ukośnych spojrzeń obok i po za siebie. Spółka na tej prostej linii umieściła kilka ulubionych i może uprawianych przez siebie gatunków owoców, zapomniawszy o tem, że mnóstwo ogrodów w kraju, chociażby nieprowadzonych wzorowo, posiada wiele innych mniej *wyborowych* gatunków, nie amatorskich wprawdzie, ale, według znawców, trwałych i nieczułych na wpływy klimatyczne, a więc obradzających obficie. Właściciele sadów w Brzezińskiem wielce się ucieszyli, słysząc o „zbawiennej“ działalności Spółki i już marzyli o zbyciu jej pięknych odmian owoców zimowych. Tymczasem odezwa zarządu srodze ich zawiodła i zmusiła znowu schronić się pod długie poły, monopolizujące w całym niemal kraju handel owocami.

Komitet krakowskiego Towarzystwa rolnego zajęty jest obecnie sprawą założenia szkoły gospodyń wiejskich na wielką skalę. Rząd podobno przychylił się już do udzielenia zapomogi na ten cel. Będzie to właściwie rozszerzenie programu istniejącej już takiej szkoły w Brodach. Dotychczas u nas w kraju głucho o niej, pomimo że arystokracya rodowa stoi na jej czele. Zakład ten istniał pierwotnie w Kurniku, w Poznańskiem, założony przez Działyńskiego, następnie spadkobierczyni hr. Zamojska przeniosła go do Brodów. Wydziały pracy owej szkoły są: pranie, piekarstwo, kuchnia, mleczarnia, tkalnia i przędzalnia (dla tych, którym to potrzebne być może), pielęgnowanie chorych i apteka (zbieranie, suszenie i przechowywanie ziół, mających własności lecznicze lub zdatnych do farbowania, prania itd.). Uczenice są przyjmowane po odbyciu szkoły elementarnej i po skończeniu najmniej lat 14. Zakład przygotowywa patentowane panny służące, kucharki, praczki, gospodynie. Tego rodzaju pracownice muszą pozostawać w zakładzie do 21 roku życia „dla ugruntowania się w zasadach i przykładania się do zajęć.“ Jeżeli zamiarem wychowanicy jest powrót do domu i... zamążpójście, wtedy przerzuca się ją w ostatnim roku przez wszystkie gałęzie gospodarstwa domowego, poleca się wszelki dozór i odpowiedzialność. Program wogóle dość praktyczny, trąci w wielu miejscach śmiesznością i chaosem, zdradzającym niezupełną wytrawność kierowniczek. Np. w skład teoretycznych wiadomości wchodzą: religia, historya św. (jedna godzina tygodniowo); kaligrafia, rachunkowość, historya polska, wypracowania piśmienne, odnoszące się do gospodarstwa, zajmują drugą godzinę w tygodniu, a za to nauka *śpiewu* — *dwie* godziny! Szkoda, że kierowniczki nie pomyślały o wielu, wielu innych elementarnych przedmiotach, ważnych dla gospodyń wiejskich, a nie wyrzuciły dwóch godzin *śpiewu*.

Może Towarzystwo rolne i ministeryum rolnictwa pomyślą o ulepszeniu w tym kierunku. Do praktyki gospodarczej przyjmują się także panienki „wyższego stanowiska.“ „Obecność ich w kuchni, pralni itp. — jak utrzymuje zwierzchność — ułatwia naukę i zachęca do pracy inne uczenice.“ Jakim sposobem? — czy duchem *wyższego stanowiska?* Dodatnią cechą zakładu jest to, że uczenice starsze otrzymują jako najwyższą nagrodę pozwolenie sprowadzania do zakładu na naukę młodszej siostry lub krewnej. Nadto, po pięcioletnim pobycie, wychowanice odchodzące do obowiązku otrzymują małą wyprawę i umieszczane bywają przez zarząd „w zacnych i porządnych domach.“

Dziwne koleje i postacie przechodzi ten nasz patryotyzm! Z zadowoleniem rozpisujemy się szeroko o tem, co mówią o nas anglicy lub francuzi i uszczęśliwieni ze swej sławy, głaskamy się po piersiach, zapominając, że co mówią o nas cudzoziemcy, to najczęściej jest zdaniem polaka, bezimienne lub z za przyłbicy obcej wołającego przez pisma zagraniczne. Maluczko za to zostaje miejsca dla takich faktów, jak praca znakomitego ichtyologa Girdwojnia. *Kuryer warsz.* zaszczycił go kilku wierszami wzmianki, że założył zbiorniki z ostrygami na limanach czarnomorskich i że eksploatacyi podjął się hr. Małachowski. A jednak te dwa fakty godne są szerszej uwagi. P. Girdwojń pracuje wytrwale od lat wielu, zarybił mnóstwo jezior i stawów, między niemi jezioro Trockie (o czem także po pismach błąkała się wzmianka). Rybołówstwo stoi u nas bardzo nizko, a stawów i rzeczek prawie bezrybnych, lub obfitych w t. z. „molki,“ drobne karasie itd., posiadamy mnóstwo. Nie przesadzę, jeżeli powiem, że rozwój tej gałęzi przemysłu mógłby znacznie podnieść stan ekonomiczny kraju. Cieszmy się drugim faktem: hrabia Małachowski dostarcza funduszów dla hodowli ostryg na limanach czarnomorskich! Dotąd tego rodzaju działalność arystokracyi nie była u nas znaną. Może choć tym sposobem nabiorą mocy pruchniejące starodawne mitry. Notujemy już drugi taki objaw. Grzebienie hr. Krasińskiego doskonalą się i rozpowszechniają szeroko. Niechże i ostrygi Girdwojnia, hodowane pod materyalną opieką hr. M., łyka świat cały!

Próbkę innego patryotyzmu podaje *Gaz. lubelska*. Krewki właściciel folwarku poturbował silnie chłopa, złapawszy go na kradzieży leśnej. Obaj podali skargi do sądu, jeden o pobicie, drugi o kradzież. Sąd skazał „dziedzica“ na czterodniowy areszt, chłopa — na karę pieniężną. Na radę sądu, iżby się pogodzili, szlachcic zawołał oburzony: „Nigdy! Ja jestem *patryotą*: pan jest na to, żeby bił, a chłop na to, żeby kradł!“

Drogomir.

PRASA RUSKA.

Nowoje Wremia w korespondencyi z Chełma pisze:

„Wogóle Chełm, dzięki soborowi i pięciu cerkwiom, prezentuje się na zewnątrz jako miasto ruskie i przytem dość schludne. Przypatrzywszy mu się bliżej, spostrzeżemy wielkie podobieństwo do Tambowa, wybitną jego cechą jest bowiem znaczna ilość cerkwi i zakładów naukowych. Wśród garstki domów wznoszą się tu następujące zakłady: seminaryum duchowne, szkoła duchowna, ośmioklasowe gimnazyum męzkie, sześcioklasowy instytut Maryjski dla panien, seminaryum nauczycielskie, wzorowe szkoły przy seminaryum nauczycielskiem i przy seminaryum duchownem, oprócz tego zaś wkrótce ma tu być otworzona techniczna szkoła kolejowa. Wogóle mógłby wzrastać i rozszerzać się ku dobru sprawy ruskiej na tych kresach, niestety jednak opasuje go jakby pierścieniem wielki majorat darowany hr. Lüdersowi. Dobra te zaczynają się tuż za miastem i obejmują aż dziewięć folwarków.

„Odrodzenie Rusi chełmskiej otrzymało w bieżącym miesiącu pełną znaczenia sankcyę dzięki odwiedzeniu tego starożytnego miasta ruskiego przez Najjaśniejszego Pana.

„Już poprzednio z okazyi uroczystego odwiedzenia tej starodawnej świątyni ruskiej przez Monarchę mieliśmy sposobność zaznaczyć, że po raz pierwszy przedstawiciel zwierzchniej władzy ruskiej zawitał do miasta i kraju, kwestyonowanego tak długo przez polaków. Doniosłe znaczenie polityczne tych odwiedzin, zrozumiałe dla każdego ruskiego, nie uszło też uwagi prasy zagranicznej, zwłaszcza polsko-galicyjskiej. Pisma z tego obozu przygnębione są świeżą uroczystością w Chełmie; widzą w niej zaprzeczenie powstałym niedawno, Bóg raczy wiedzieć na jakiej podstawie, widokom co do jakiejś nastąpić jakoby mającej zmiany istniejącego dotychczas systemu w zarządzie całego kraju, z którego prasa ta nie wyłącza oczywiście za nic w świecie Rusi chełmskiej. Tymczasem wiadomo przecież, że ta część gubernii lubelskiej i siedleckiej zamieszkana jest przez szczep czysto ruski (małoruski), gdy w innych guberniach ludność należy co żywiołu mazurskiego (polskiego). Ruś chełmska powinna przeto zaliczać się pod względem etnograficznym i co do charakteru administracyi rządowej do zachodniego naszego kraju, do którego prasa polska, jak wiadomo, rości sobie jeszcze pretensye i ani myśli o zrzeczeniu się tychże.

„Pisma polskie w ten jeszcze sposób tłomaczą niespodzianą uroczystość chełmską, że była demonstracyjną na rzecz prawosławia odpowiedzią na niedawną naganę udzieloną przez cesarza austryackiego Strossmayerowi, a motywowaną względami religii katolickiej.

„Taki był przynajmniej zbieg wypadków i takie to wywarło wrażenie na wrogi względem nas obóz katolicki, w łonie którego, mówiąc nawiasem, zjawiły się pogłoski o oziębieniu wzajemnych stosunków Watykanu i Rosyi, ba, nawet o zerwaniu rokowań. W każdym razie, bez względu na faktyczny stan rzeczy, we wszystkiem tem nie widzimy, jak dotąd, dla sprawy ruskiej na zachodnich naszych kresach żadnej szkody, ale owszem pozytywną korzyść. Wśród naszej publiczności nastąpiło oddawna pewne zobojętnienie względem kraju zachodniego; niechaj więc choć Ruś chełmska podtrzymuje to zainteresowanie się, niegdyś tak silne i żywotne w społeczeństwie ruskiem.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Nowosti donoszą o projekcie przymusowego ubezpieczenia robotników fabrycznych od wypadków i kalectwa.

Ministeryum dóbr państwa dla uchronienia winnic od zaniesienia filoksery z zagranicy, ogłosiło przepisy dla przewozu przez komory w Wierzbołowie, Aleksandrowie i Mławie, oraz przez porty morskie roślin żywych (oprócz wina) z Niemiec, Belgii, Holandyi, Danii, Anglii, Szwecyi i Norwegii; rośliny przewożone przez granice, muszą być zaopatrzone w świadectwa władz miejscowych, iż pochodzą z ogrodów, w których niema winnej łozy ani w grun-

cie, ani w oranżeryi. Tylko petersburski ogród botaniczny i ogrody uniwersyteckie mogą otrzymywać rośliny bez świadectw. Przywożenie owoców nie podlega żadnym ograniczeniom.

Projekt przytulku dla nieletnich dziewcząt uzyskał już zatwierdzenie p. gubernatora warszawskiego i posłany został wyższym władzom. Przytułek ma być mieszany, tj. przyjmowane będą do niego dziewczęta skazane wyrokiem sądu, oraz przysyłane przez władze administracyjne, jako oddające się włóczęgostwu, żebraninie i wogóle sprawujące się niepoprawnie. Mogą je też oddawać rodzice, tudzież prawni opiekunowie Z wyroku sądowego przyjmowane będą dziewczęta od lat 10—14, a z oddawanych bez wyroku od 8—14. W przytułku wychowanki przebywać muszą najmniej lat 3. W urządzeniu wewnętrznem przytułek wzorowany będzie na schroniskach szwajcarskich, ale bez okazałych budynków, jakie ma osada w Studzieńcu. Pomieści około 50 wychowanek. Oprócz głównej ochmistrzyni potrzebną będzie jedna nauczycielka do udzielania wiadomości naukowych elementarnych, oraz kilka gospodyń dla zapoznania dziewcząt z gospodarstwem wiejskiem. Główne zadanie przytułku polegać ma, oprócz podniesienia moralności, na przysposobieniu uzdolnionych kucharek, pokojówek i gospodyń.

Konkursy. Ministeryum dóbr państwa ogłasza konkurs na napisanie rozprawy o istocie jadu rybiego, o środkach ochrony od niego ryb i o sposobie leczenia ludzi przez ryby zarażonych. Nagroda rs. 5,000. Ofiarował ją komitet rybaków kaspijskich. Rozprawy należy nadsyłać do ministeryum dóbr państwa przed 1 (13) stycznia 1893 r.

— W roku zeszłym słynny bankier finansista berliński, Bleichröderer, ogłosił prywatny konkurs budowniczy, dotyczący projektu willi letniej. Nagrodę za najlepszy projekt 20,000 marek otrzymał obecnie warszawianin, Jan Lustycki, młody architekt, który nadto został zaproszony na kierownika przy budowie.

W Krakowie na dworcu kolejowym nastąpił silny wybuch gazu skutkiem nieostrożności przy zakręcaniu palników. Drzwi i wszystkie okna powylatywały. W stojących o kilkaset metrów wagonach osobowych popękały szyby. Kilku robotników i strażników otrzymało ciężkie pokaleczenia.

Odmowa. Na podanie obywateli m. Łodzi o pozwolenie utworzenia spółki niesienia pomocy i wsparcia chorych, nadeszła odmowna odpowiedź.

Międzynarodowy kongres geologów (czwarty) odbył się w Londynie. Na jednem z ogólnych zebrań postanowiono przyszły kongres zwołać w Filadelfii w r. 1891. Jednocześnie odbyć się ma uroczysty obchód 100-letniego istnienia miejscowego uniwersytetu. W r. 1894 taki sam kongres odbędzie się w Wiedniu.

Handel niewolnikami w Indyach wschodnich przybiera coraz większe rozmiary. W przeciągu trzech miesięcy cztery parowce angielskie pochwyciły 25 okrętów z niewolnikami.

Podatek od popisowych. Ministeryum skarbu opracowało projekt podatku, do którego opłaty będą pociągani popisowi, uwolnieni od służby czynnej w wojsku na podstawie losowania. Wysokość podatku oznaczono na 5 rs. w markach stemplowych. Od opłaty wolni będą popisowi włościanie, o ile sami lub ich rodziny nie wykupili świadectwa na prawo handlu.

Udogodnienie. Ogłoszono prawo, dozwalające na prowadzenie działalności bez starania się o osobne Najwyższe zatwierdzenie tym towarzystwom akcyjnym, które jedynie trudnią się sprzedażą zagranicznych wyrobów, jako też zagranicznym towarzystwom żeglugi morskiej, utrzymującym komunikacyę z Rosyą. Agenci ich muszą wszakże poddać się obowiązującym przepisom kupców i opłacać podatki handlowe.

Wynalazek. Jakób Erbe w Eisenach wynalazł nowy instrument muzyczny. Jest to skombinowane pianino i harmonium. Urządzony jest tak, że można używać pianina i harmonium razem lub każdego z osobna. Instrument ten ma usunąć krótkość brzmienia tonu fortepianowego.

Koncert, dany w Warszawie na korzyść ratowania tonących, przyniósł czystego dochodu około 300 rs.

Komunikacya. Poliński, kapitalista niemiecki, otworzył stałą komunikacyę pomiędzy Hamburgiem i Australią za pośrednictwem dwóch własnych parowców. Na jednym z nich służy czterech polaków z Poznańskiego.

Piątą szwalnię dla ubogich dziewcząt otwarto na ul. Czerniakowskiej.

Bibliografia. Oskar Kolberg, *Lud polski* (gub. radomska) 21-y tom.

— Paul Silvester, autor angielski, napisał monografię o polskich włościanach i umieścił w *National revue.*

Szczedryn (Sałtykow) sprzedaje prawa autorskie do swych dzieł za 50,000 rs.

Szkoły. P. kurator okręgu naukowego udzielił odpowiedź przychylną na podanie urzędu starszych zgromadzenia drukarzy o wprowadzenie do jednej ze szkół niedzielno-rzemieślniczych nauki języka francuskiego i niemieckiego, z warunkiem, iż zgromadzenie poniesie koszt utrzymania nauczyciela (540 rs.).

— Postanowiono zwiększyć program wykładów nauk przyrodniczych oraz fizyki w instytutach i gimnazyach żeńskich.

Proces prasowy. Przed sądem karnym stawał niedawno redaktor *Wielkopolanina*, p. Gertig, z gospodarzem p. J. Nowakiem z Radomicka pod Śmiglem, oskarżeni o obrazę nauczyciela, Obera z Radomicka i inspektora szkolnego, Eichhorna ze Śmigla. W *Wielkopolaninie* umieszczony był artykuł p. t. „Ze szkoły,“ gdzie we wzmiance o szkole radomickiej powiedziano: „Widać było dzieci wyćwiczone starannie na komendę, niby żołnierze w mustrze, albowiem na każde pytanie odpowiadały bez wielkiego namysłu, atoli czy dzieci rozumiały to wszystko, co wymawiały usta?“ Ostatnie to wyrażenie, według prokuratoryi królewskiej, było obrazą. Nowaka posądzono, że to on ten artykuł napisał, prokurator więc żądał odeń 50 marek kary pieniężnej lub 5 dni więzienia, od redaktora — 100 marek lub 10 dni więzienia. Sąd skazał p. Gertiga na 30 marek lub 6 dni więzienia, oraz na zapłacenie połowy kosztów, Nowaka uwolnił.

Zmarli. Correnti, bardzo zdolny i zasłużony pisarz włoski, zamiłowany w literaturze polskiej, posiadał doskonale nasz język, napisał historyę polską oraz drukował w pismach włoskich drobne studya o poetach naszych. Przy założeniu akademii Mickiewicza brał czynny udział.

— Włodzimierz Łoś, w Krakowie, malarz rodzajowo-pejzażowy. Ur. 1849 r. na Wołyniu, kształcił się w Warszawie, Krakowie i Monachium. Z pomiędzy prac ważniejsze: „U przewozu,“ „Zadymka,“ „Przed burzą,“ „Po drodze.“

— Wawrzyniec Zwab, wydawca pisma *Jedynost*, w Tryeście. Posiadał dobrze język polski i pisał studya o naszej literaturze.

— Napoleon Ksawery Mańkowski, inżenier, poseł do parlamentu niemieckiego, pisywał artykuły o rolnictwie.

— Emil Hullotz, malarz rodzajowy niemiecki, w Berlinie.

— Bailly, paleontolog. Zostawił dzieło niedokończone p. t. *Charakteriste Britisch Fesits.*

— Dr. Karol v. Prantl, prof. filozofii w uniw. monachijskim.

— Ryszard Proctor, znany astronom angielski, w Londynie.

— Dr. Griess, znany chemik w Bournemouth.

— Peletika, w Petersburgu, b. redaktor byłej *Mołwy*, poprzednio wychodzącej p. t. *Birżewyja wiedomosti.*

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. D w Tarn. Znamy. Numer, który dziś wysyłamy, na drugie pytanie odpowie.

Pytającemu. Szkoda trudu — na nic by się nie przydało. Już nieraz zamieszczaliśmy podobne odezwy — bez skutku.

Modrz. Druga część wiersza wprost przeczy pierwszej.

Olzarowi. Więcej pozy, niż głębokiej boleści. Pistolet, taką rozpaczą nabity, spali na panewce i do samobójstwa nie doprowadzi.

Rudin. Rada dla ludzi na rozstajnych drogach jest bardzo trudna. Ale może jakąś dla Pana wynajdziemy.

Stud. w Odesie. Język nasz uprawnił wyrażenia zamyślać, cel zakreślony, chrystyanizm, nakoniec, względnie do, wczora; nie: znowuż, wypisywać gazetę.

P. L. Szczegółowa odpowiedź na pytanie Pańskie, co mają czytać kobiety 17—18 letnie, wymagałaby spisania całego katalogu, którego podjąć nie możemy.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

B. Student, który skończył w r. b. prawo, poszukuje lekcyj. Wiadomość w Redakcyi.

Wydawnictwa „Prawdy."

1) J. Brandes: **Główne prądy literatury XIX w.**

Tom I. Literatura emigrantów. Szkoła romantyczna w Niemczech rs. 1 k. 50
„ II. Literatura niemiecka — ciąg dalszy . . . . „ 1 „ 50
„ III. Rewolucya. Zasada powagi, Restauracya . . . . „ 1 „ 50
„ IV. Naturalizm w Anglii. Wordsworth, Coleridge, Walter-Scott, Keats, Moore, Shelley, Byron . . . . „ 2 „ —

2) **Ekonomia polityczna** według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona . . . . rs. 3

3) L. Liard: **Logika** . . . . „ 1

4) A. Espinas: **Społeczeństwa zwierzęce**, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii.

Autor przedstawia ustroje życia zbiorowego śród zwierząt, dostarczając niezmiernie ciekawych objaśnień stosunków ludzkich.

Cena . . . . rs. 3

UWAGA. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny**. Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

5) E. Taylor: **Zmyślność i moralność roślin**

Treść: Przebiegłość kwiatów. — Ich dyplomacya. — Gra w chowanego. — Obrona nie zaczepka. — Współdziałalność. — Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.

Cena (w oprawie) . . . . rs. 2 k. —
„ dla abonentów *Prawdy* . „ 1 „ 50

6) L. H. Morgan: **Społeczeństwo pierwotne**: czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. B.

Rozwój inteligencyi. — Rozwój idei rządu. — Rozwój idei rodziny. — Rozwój idei własności

Cena . . . . rs. 4 k. —
„ dla abonentow *Prawdy* „ 3 „ —
z przesyłką pocztową „ 3 „ 50

Egzemplarze oprawne dzieła Morgana **Społeczeństwo pierwotne** nabywać można za dopłatą kop. 40.

7) J. Barni i A. Krzyżanowski: **Męczennicy myśli** (w oprawie) . „ 1 „ —

8) A. Świętochowski: **O powstawaniu praw moralnych** . . . „ 1 „ 50

9) W. Okoński: **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) . „ 1 „ —

10) — **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko . . . . „ — „ 50

11) — **Klemens Boruta**, powieść „ — „ 40

12) — **Niewinni**, dramat w 3 aktach kop. 80 z przesyłką rs. 1

13) Dr Azam: **Charakter w zdrowiu i w chorobie** . . . . rs. 1

14) N. Hirszband: **Byron** w urywkach rs. 1.20, z przesyłką rs. 1 kop. 25

Dzieło prof. L. Gumplowicza

SYSTEM SOCYOLOGII

wyszło z druku i kosztuje obecnie rs. 3 k. 30, z przesyłką pocztową rs. 3 k. 60.

Spółka Nakładowa

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Brandes Jerzy: Główne prądy literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora. str. 402 rs. 2.

Chmielowski Piotr dr: Autorki Polskie wieku XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 rs. 2 kop. 50.

Kramsztyk Stanisław: O postaci i ciężarze ziemi, str. 93, kop. 60.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki): Szkice i Obrazki, tomów **cztery** z portretem autora. Cena rs. 5. W ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20

Smoleński Władysław: Drobna Szlachta w Królestwie Polskiem, studyum etnograficzno-społeczne, str. 66, kop. 60.

Spencer Herbert: Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz, str. 310, rs. 2.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście, str. 274. Cena rs. 1 kop. 80.

Biuro i ekspedycya **Spółki Nakładowej**: Warszawa, Złota 23.

Dla czytelników gazet politycznych

Wyszło z druku i jest do nabycia dzieło prof. A. OKOLSKIEGO

Ustrój Państw Europejskich

i Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.

Cena rs. 3, z przesyłką rs. 3 kop. 30.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

K. LEWALD

HISTORYA XIX w.

od r. 1800 do 1888.

stronic 634

Cena rs. 3 k. 30, z przesyłką pocztową rs. 3 kop. 60.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Сентября 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.